

Jennifer Taylor

Syn Morgana

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

To była długa noc.

Morgan Grey wszedł pod prysznic i westchnął z ulgą, gdy ciepła woda zaczęła spływać po jego obolałym ciele. Jako ordynator oddziału ortopedycznego szpitala Dalverston General przywykł do wielogodzinnych dyżurów, lecz dzisiejszy pobił wszelkie rekordy. W wypadku na autostradzie zostało rannych siedemnaście osób, więc operowanie przypominało pracę przy taśmie montażowej. W tej chwili Morgan nie był w stanie przypomnieć sobie połowy przypadków, i to go bardzo martwiło. Pacjenci to przecież ludzie, a nie tylko połamane kości, wymagające złożenia i unieruchomienia.

Zakręcił wodę, sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać. Był wykończony i koniecznie potrzebował chociaż paru godzin snu, by się pozbierać. Jeśli dalej będzie tak się forsował i jechał na adrenalinie, to coś mu wysiadzie.

Zerknął na swoje odbicie w zaparowanym lustrze i skrzywił się z niesmakiem. Ma taką bladą skórę. Cóż, nic dziwnego, skoro ostatnio był na urlopie cztery lata temu. Od tego czasu nie brał wolnego, zakopał się po uszy w pracy, by nie wspominać Katriny. Owszem, postąpił wtedy właściwie. Wybrał jedyne rozsądne rozwiązanie, lecz na myśl o Katrinie znów poczuł w sercu ukłucie żalu.

Nic nigdy nie zraniło Morgana bardziej niż rozstanie z Katriną ale musiał z niej zrezygnować. Zrobił to, co trzeba!

Pomaszerował do szatni, mrucząc pod nosem, że pora skończyć z tymi wspomnieniami. Katrina już nie jest częścią jego życia, a on się z tym pogodził. Jasne, że tak!

Ubierał się automatycznie. W domu miał szafę pełną identycznych zestawów - rzędy ciemnych garniturów, gładkich białych koszul i krawatów w konserwatywnych kolorach. Dzięki temu nigdy się nie stresował koniecznością

dobierania różnych części garderoby, nie tracił czasu na takie głupstwa i miał go więcej na ważniejsze sprawy. Na przykład na pracę, chociaż Katrina bezlitośnie pokpiwała sobie z jego podejścia...

Z hukiem zatrzasnął drzwiczki szafki, zirytowany faktem, że nie panuje nad myślami. Wychodząc z szatni, wpadł na praktykanta, Robina White'a.

- Wzywają pana na izbę przyjęć, doktorze - powiedział młody lekarz. - Właśnie przyjęto kobietę i dziecko. Złamana kość udowa z przemieszczeniem i prawdopodobnie uszkodzenie nerwu.

- Nie może się tym zająć doktor Fabrizzi?

- Operuje. Wystąpiły jakieś komplikacje u pacjenta, którym wcześniej się zajmował. Mogę spytać, jak długo będzie zajęty?

- Nie trzeba. - Morgan pomaszerował do windy. - Proszę się przygotować - polecił White'owi. - Będzie pan mi asystował.

- Super! - Robin radośnie zdzielił pięścią powietrze i zaraz się zmitygował, - Eee... bardzo się cieszę.

Dobrze, że są ludzie, których praca uszczęśliwia, pomyślał Morgan i zdziwił się, że jest taki cyniczny. Przecież praca zawsze była dla niego najważniejsza, a od kilku lat skupiał się wyłącznie na niej. Ale czasami się zastanawiał, czy rzeczywiście jest człowiekiem szczęśliwym.

- Dzięki, że pan przyszedł - powitał go Sean Fitzgerald, lekarz dyżurny, i poprowadził do jednego z dwóch gabinetów, gdzie przeprowadzano wstępne badania. - Nie zawracałbym głowy po takim dniu jak dziś, ale jest pan ekspertem, a mam tu trudny przypadek. Złamanie nastąpiło blisko główki kości udowej i zabieg będzie skomplikowany.

Morgan nie podziękował za komplement, a Sean nawet nie zwrócił na to uwagi. Obaj byli profesjonalistami i dobrze

wykonywali swój zawód. Morgan wiedział jednak, że niewielu chirurgów dorównuje mu pod względem umiejętności.

- Jak się nazywa nasza pacjentka?

- Nie wiadomo. - Sean wzruszył ramionami. - Jechała wynajętym autem, które po wypadku nadaje się do kasacji. Dziewczyna i ten dzieciak mieli wielkie szczęście, że wyszli z tego żywi. Policja usiłuje ustalić dane personalne.

- Co z dzieckiem?

- To mały chłopczyk, na oko trzyletni. Nabił sobie parę guzów, a poza tym nic mu się nie stało. Farciarz, ale niestety nie mówi po angielsku. Powtarza tylko „mama” i wciąż płacze. - Sean wsunął na wyświetlacz kilka klisz, a Morgan podszedł do leżącej kobiety.

Pochylona nad nią pielęgniarka właśnie poprawiała jej maskę tlenową, więc widział tylko dolną połowę ciała, częściowo zasłoniętego sterylną zieloną płachtą. Odwinął ją i popatrzył na złamaną kończynę. Jeśli jest tak, jak mówił Sean, to należy się śpieszyć, aby nie dopuścić do beznaczyniowej martwicy. W jej rezultacie szczyt kości udowej po pewnym czasie zaczynał się kruszyć.

Morgan poruszył się niespokojnie, czekając, aż pielęgniarka się odsunie. Nie wątpił, że koledzy z izby przyjęć postawili prawidłową diagnozę, chciał jednak sam zbadać pacjentkę. Jej leżąca na płachcie dłoń z lekko podgiętymi palcami wyglądała tak, jakby kobieta gestem prosiła o pomoc. Morgana dziwnie poruszył ten widok.

- Już zmykam, doktorze. - Pielęgniarka uśmiechnęła się przepraszająco i odeszła.

On zaś spojrzał na twarz leżącej i poczuł się tak, jakby zobaczył ducha. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i wybiegł z salki. Czyżby umysł płątał mu figle?

Odetchnął głęboko i przesunął wzrokiem po rozsypanych na poduszce kasztanowych włosach z odcieniem złocistego miodu, po powiekach z delikatnymi żyłkami i zmysłowo pełnych wargach, teraz wykrzywionych przez rurkę doprowadzającą tlen.

- Proszę popatrzeć na zdjęcia.

Morgan drgnął, słysząc głos Seana, i niepewnie rozejrzał się wokoło. W głowie miał totalny zamęt, znów przeżywał rozterki, o których przez ostatnie cztery lata usiłował zapomnieć. Zauważył spojrzenie, jakie Sean wymienił z pielęgniarką, i zrozumiał, że musi wyglądać na zszokowanego.

- Coś nie tak? - spytał Sean.

- Proszę zawiadomić doktora Fabrizziego, żeby jak najszybciej tu przyszedł - polecił. - Ja dokończę za niego tamten zabieg.

- Nie zamierza pan operować tej pacjentki? W czym problem?

- Ta pacjentka to moja żona, doktorze Fitzgerald. W tych okolicznościach będzie najlepiej, jeśli zajmie się nią doktor Fabrizzi. W pełni ufam jego talentom.

Odsunął kolegę łokciem, wyszedł na korytarz i pomaszerował przed siebie, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo. Zresztą w tej chwili i tak nikogo by nie zobaczył. Wciąż miał przed oczami tylko Katrinę z zamkniętymi oczami, z plastikową rurką w ustach, bezwładnie leżącą na noszach...

Wpadł do toalety i zwymiotował. Następnie oparł się o ścianę, przymknął oczy i przez chwilę ciężko dyszał. Chyba nigdy w życiu nie czuł się tak fatalnie jak właśnie teraz.

Nagle usłyszał dobiegający z zewnątrz płacz dziecka - głośne zawodzenie i powtarzane raz po raz słowo „mama”. Piskliwy głosik wdzierał się prosto do mózgu, a Morgan

pomyślał, że zaraz pęknie mu głowa od tego przeraźliwego dźwięku.

Słuchał, czując pod powiekami piekące łzy żalu i złości, a dziecko wciąż wołało matkę. Katrinę. Zonę Morgana, lecz nie on był jego ojcem.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości!

- Naprawdę. Tym swoim lodowatym tonem oświadczył, że nie będzie operował, bo to jego żona. Coś takiego! Nawet nie wiedzieliśmy, że jest żonaty...

Głosy przycichły, gdy dwie pielęgniarki minęły drzwi do toalety. Morgan ochlapał twarz zimną wodą, osuszył papierowym ręcznikiem i zerknął na zegarek. Ze zdziwieniem stwierdził, że od wyjścia z sali minęło zaledwie pięć minut. Powinien iść na blok operacyjny i zastąpić Fabrizziego.

Poprawił krawat i skierował się do windy. Zamierzał zainteresować się owym dzieckiem, lecz jeszcze nie czuł się na siłach, aby to zrobić. De miało lat? Około trzech? Rozstał się z Katriną cztery lata temu, a później ona pewnie zaszła w ciążę. Wszystko było możliwe, z wyjątkiem tego, że ten malec to jego syn!

Morgan zacisnął usta, usiłując zapanować nad cierpieniem, jakie wywołała ta myśl. Kroczył z ponurą miną, a kilka mijanych osób pośpiesznie zeszło mu z drogi, ponieważ wyglądał groźnie. On zaś nawet ich nie zauważył, zbyt pochłonięty zastanawianiem się, jak w zaistniałej sytuacji wykonywać swoje obowiązki, jednocześnie nie robiąc z siebie idioty.

Na ból przyjdzie pora później.

- Morgan, zaczekaj! - zawołał Luke Fabrizzi, doganiając go na korytarzu.

- Myślałem, że operujesz.

- Już skończyłem.

Wieści szybko się rozchodzą, pomyślał Morgan, zauważywszy taksujące spojrzenie, jakim obrzucił go kolega. A niech sobie gadają, co chcą. To jest bez znaczenia.

- Zabieram na salę nową pacjentkę - dodał Luke. - To podobno twoja żona. Ma jakieś uczulenia? Dave Carson podaje narkozę i pewnie chciałby to wiedzieć.

- Katrina nie jest alergiczką. Skończyła dwadzieścia dziewięć lat i chyba nie przechodziła żadnych operacji. Nie wiem, co działo się z nią w ciągu ostatnich czterech lat, ale przedtem była okazem zdrowia.

- Świetnie. Na początek wystarczy. - Luke odwrócił się, by odejść, i na moment przystanął. - Nie martw się, stary. Zadbamy o nią.

Morgan w milczeniu skinął głową. Niby cóż miał powiedzieć? Jego kolegów nie trzeba było poganiać do pracy. Każdego pacjenta traktowali najlepiej, jak mogli.

Mimo to Morgan zaczął się bać. Usiłował sobie wmówić, że nie powinien, że Katrina wyzdrowieje, lecz strach okazał się silniejszy od niego.

Powlókł się do kafeterii i usiadł przy stoliku w kącie. Wiedział, że musi wziąć się w garść, by nie zrobić z siebie widowiska. Mimo najszczerzych chęci wciąż myślał tylko o tym, co dzieje się w sali operacyjnej, co może pójść nie tak. Niewiele pocieszał go fakt, że tutejszy wskaźnik udanych zabiegów znacznie przekracza średnią krajową. Zawsze może zdarzyć się coś złego. A jeśli Katrina będzie kuleć? Tego, że mogłaby umrzeć, wolał nawet nie brać pod uwagę.

Podniósł głowę, gdy ktoś podszedł do jego stolika.

- Dlaczego nie jesteś na operacyjnym? - burknął na widok Fabrizziego. - Katrina...

- Katrina ma się dobrze. Modelowo zniosła zabieg, a ja nieskromnie przyznam, że świetnie sobie poradziłem.

- Dzięki - wybąkał Morgan, gdy zdołał wydobyć głos z gardła.

- Hej, przecież po to tu jesteśmy, chłopie - lekkim tonem odparł Luke. - Za godzinę zabierają ją na intensywną terapię.

Morgan skinął głową i odprowadził wzrokiem odchodzącego kolegę. Z Katriną wszystko w porządku. Pora dowiedzieć się czegoś o jej synku.

- Amy się nim zajmuje, doktorze Grey. Jest cały i zdrowy, nie licząc paru siniaków i zadrapań, ale strasznie tęskni za mamą.

Morgan wyczytał z oczu pielęgniarki zainteresowanie, lecz nawet gdyby chciał, nie mógłby niczego jej wyjaśnić. Sytuacja była niepojęta również i dla niego!

Wszedł do pokoju dla odwiedzających i spojrzał na dziecko - małego, pulchnego chłopczyka z czarnymi, wilgotnymi loczkami i złocistą cerą.

- Wiadomo, jak ma na imię?

- Jeszcze nie - odparła recepcjonistka, którą wezwano do pomocy. - Policja znalazła we wraku auta walizkę, ale były w niej tylko ubrania i zabawki. - Kobieta podniosła się z podłogi i zarumieniła, kiedy Morgan podtrzymał ją, gdy się zachwiała. - Dziękuję, doktorze... eee... chyba już wrócę do pracy.

Kobieta pośpiesznie wyszła z pokoju, a Morgan odetchnął głęboko i kucnął obok malca.

- Zostaliśmy tylko my dwaj, co, mały? Może ty mi powiesz, co się dzieje?

Malec spojrzał na niego, uśmiechnął się od ucha do ucha i rzucił mu się na szyję. Morgan zaś odruchowo przytulił go i wstał. Ostatnio trzymał w objęciach dziecko podczas praktyki na pediatrii, gdy zaliczał kolejne szkolenia. Zerknął w lustro i stwierdził, że z tym maluchem w ramionach wygląda jak ojciec z synem. Przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, że spełniło się marzenie sprzed wielu lat.



- Papa.

- Co powiedziałaś?

- Papa! - powtórzył dzieciak i radośnie się roześmiał.

A Morgan oniemiał z wrażenia. O co tu, u licha, chodzi? Dlaczego dziecko Katriny nazywa go tatą? Ktoś już wkrótce będzie musiał porządnie wyjaśnić to i owo!

Katrina chciała przełknąć ślinę, ale za dużo bolało ją gardło. Pewnie od tej rurki. Pacjenci często narzekali, że po intubacji mają problemy z łykaniem.

No dobrze, ale ona przecież jest pielęgniarką, a nie pacjentką. To ona wykonuje zabiegi i podłącza aparaturę.

Spróbowała usiąść i jęknęła, gdy lewą nogę - dziwnie ciężką i sztywną - przeszył ostry ból. Chciała ją pomasować czubkami palców, lecz natrafiła na gips.

Raptownie otworzyła oczy i wlepiła zdumione spojrzenie w stojak z kroplówką. Przesunęła wzrokiem wzdłuż wijącej się cieniutkiej rurki i z jeszcze większym zdziwieniem stwierdziła, że ma ją podłączoną do żyły w ręce.

Czyżby była chora? Dlatego czuje się tak nieswojo?

- Witamy w krainie żywych. Miło, że pani wróciła.

- Kim pan jest?

- Co za odmiana. Większość ludzi zazwyczaj pyta „Gdzie ja jestem?”. - Młody mężczyzna mrugnął do niej porozumiewawczo. - Już się przedstawiam: Lee Anderson, jedyny pielęgniarz na intensywnej terapii. Ale bez obaw. Traktuję pacjentów nie gorzej niż Florence Nightingale.

- Wierzę. - Katrina zdobyła się na blady uśmiech. - Jak się tutaj znalazłam?

- Nie pamięta pani?

Westchnęła ostentacyjnie, zauważywszy w oczach mężczyzny błysk czujności.

- Jestem Katrina Grey, lat dwadzieścia dziewięć. Mam jedną siostrę, dwóch braci i nie cierpię na amnezję.

- Widzę, że zna pani zasady, Katrino. Czyżby była pani pielęgniarzką? - Lee uśmiechnął się szeroko, gdy skinęła głową. - Tak myślałem. Zawsze rozpoznam koleżankę po fachu. No dobra, przypomnę pani cośkolwiek, ale to wbrew przepisom, więc proszę nikomu o tym nie mówić. Miała pani wypadek, niefortunne spotkanie z ciężarówką. Pani wyszła na tym gorzej. No jak, coś świta?

- Czy ja wiem... Ależ tak! Już pamiętam. Właśnie skręcałam do supermarketu, gdy... O Boże, Tomas! Co z moim synkiem?!

- Jest cały i zdrowy, Katrino.

Natychmiast rozpoznała ten głos. Przecież słyszała go w snach co noc w ciągu minionych czterech lat. Powoli odwróciła głowę, usiłując psychicznie przygotować się na spodziewany ból. Ale na widok Morgana z Tomaszem w ramionach poczuła również strach - chłodny i obezwładniający.

Nie tak miało być. Zamierzała delikatnie przygotować Morgana, naświetlić okoliczności i przekonać go, aby się zgodził na jej propozycję. Dopiero później chciała poznać go z Tomaszem. A teraz wszystko na nic!

- Twojemu synkowi nic się nie stało, Katrino - jeszcze raz zapewnił Morgan.

Usłyszała w jego głosie nutę irytacji i spróbowała wziąć się w garść, aby nie okazać zdenerwowania.

- Może łaskawie zechcesz mi wyjaśnić, co jest grane? Chyba mam prawo wiedzieć, nie sądzisz?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Katrina usiłowała odpowiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle, a przyływ paniki sprawił, że częstotliwość bicia serca raptownie wzrosła i monitor kontrolny zaczął szaleńczo sygnalizować, że stan pacjentki się pogorszył.

Lee Anderson poprosił Morgana o opuszczenie pokoju, zaś Katrina zauważyła, jakim spojrzeniem obrzuciła ją i Morgana pielęgniarka, która właśnie przybiegła, zaalarmowana pikaniem aparatury. Nie ulegało wątpliwości, że w szpitalu już rozniosła się wieść o zaistniałej sytuacji.

Morgan pewnie jest wściekły, pomyślała Katrina. Zawsze cenił poczucie prywatności i żył w obrębie muru, którym odizolował się od reszty świata. Tylko Katrinie udało się sforsować ten mur; Morgan otworzył się jedynie przed nią.

Wspomnienia były takie bolesne...

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, gdy Morgan przyniósł Tomasa, aby mogła go ucałować.

- Bądź grzeczny, querido - szepnęła. - Yo te amo... kocham cię. - Przymknęła powieki, gdy Morgan znów wziął dziecko w ramiona i wyszedł, zapowiadawszy przedtem, że wróci w stosowniejszej chwili.

- Już poszedł. Horyzont czysty - lekkim tonem oznajmił Lee.

- To było takie oczywiste, że nie chce teraz z nim rozmawiać? - Katrina otworzyła oczy i stwierdziła, że Lee przygląda się jej z zaciekawieniem.

- Jeszcze jak. - Lee uśmiechnął się swawolnie. Był przystojnym blondynem po dwudziestce, miał krótko ostrzyżone włosy, modnie postawione na żel, a w niebieskich oczach migotały iskierki wesołości. - Nawet te pikające spręciki się połapały. Chyba pobiła pani rekord przyśpieszenia!

- Miło wiedzieć, że znajdę się w Księdze Guinnessa.

- I to z dwóch powodów. Pani pierwsza zdołała skłonić doktora Greya do żywszej reakcji. Normalnie ten gość to chodząca zamrażarka.

Nie zawsze, pomyślała. I natychmiast przypomniała sobie, ile ciepła jej okazywał. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, a później połączyła ich cudowna, gorąca namiętność. Szkoda, że nie wystarczyła, aby przetrwało ich małżeństwo.

Poczuła pod powiekami łzy i odwróciła głowę, aby ukryć wzruszenie. Nie powinna tak się rozklejać. Teraz najważniejszy jest Tomas. Cała jego przyszłość zależy od poważnej rozmowy z Morganem.

- Wkrótce zbada panią doktor Khan, ordynator naszego oddziału. Jeśli wszystko będzie dobrze, przewieziemy panią na chirurgię. Na intensywnej terapii trzymamy pacjentów jak najkrócej. Pięciogwiazdkowe luksusy to krótka przyjemność.

- Już zaliczyłam parę godzin tych atrakcji?

- Parę godzin?! Kochana, wyleguje się tu pani od dwóch dni. - Lee pokręcił głową. - Co za los... Człowiek tyra jak dziki, a pacjenci i tak tego nie doceniają, bo na ogół są nieprzytomni. Musi być bosko pracować gdzie indziej!

Katrina milczała zaskoczona. Od dwóch dni leży na intensywnej terapii? Co w tym czasie działo się z Tomaszem? Kto się nim opiekował? Czyżby Morgan?

Nie, to wykluczone. Nigdy nie podjąłby się takiego zadania. A może jednak...?

Gdy wszedł tutaj z Tomaszem na rękach, niewątpliwie był zły. Cóż, miał do tego prawo. Na pewno przeżył spory szok. Lecz mimo to wyglądał tak... naturalnie, trzymając w ramionach dziecko. Jak ojciec z synkiem.

Łzy, które usiłowała powstrzymać, powoli spłynęły po jej policzkach.

Morgan chodził po gabinecie, niecierpliwie czekając na telefon od doktora Sanjita Khana. Musiał jak najszybciej dowiedzieć się, jak ordynator ocenia aktualny stan Katriny.

- Papa?

Przystanął, gdy mała łapka pociągnęła go za nogawkę. Zawsze było mu przykro, gdy chłopczyk zwracał się do niego w ten sposób. Dlaczego nazywał go tatą? Mówił to z przekonaniem, a Morgan nie miał serca powiedzieć malcowi, że nie jest jego ojcem.

Lub może nie chciał tego zrobić. Może ta sytuacja mu odpowiada. Czy zawsze nie marzył o tym, aby Katrina urodziła mu dziecko? Niech ją licho, pomyślał z irytacją. Jeśli zjawiała się tutaj, żeby go zranić, to osiągnęła cel!

- Bardzo ładnie, Tomas - pochwalił, oglądając wykonany przez chłopca rysunek. - Muy bonita, si? - spytał po hiszpańsku, a dzieciak radośnie się roześmiał.

Morgan musiał przyznać, że obaj bardzo zbliżyli się do siebie w ciągu tego krótkiego czasu, jaki ze sobą spędzili.

Raptownie drgnął, gdy zabręczał telefon, i pośpiesznie chwycił słuchawkę. Usłyszał głos doktora Sanjita Khana i stwierdził, że serce wali mu w piersi jak młot.

Podczas dwóch dni, gdy Katrina była nieprzytomna, zamartwiał się potencjalnymi komplikacjami. Okazało się jednak, że całkiem niepotrzebnie. Doktor Khan zapewnił go o doskonałym stanie pacjentki, która podobno miała wszelkie szanse na odzyskanie sprawności ruchowej.

Odkładając słuchawkę, Morgan stwierdził, że drżą mu ręce. Zszokowała go ta silna reakcja. Nigdy nie ujawniał swoich uczuć, w pełni nad sobą panował i skupiał uwagę na sprawach o zasadniczym znaczeniu. Ale nie wtedy, gdy chodziło o Katrinę.

Zaklął pod nosem, wziął dziecko na rękę i wyszedł z gabinetu. Mijając sekretarkę, dostrzegł błysk zaciekawienia w jej oczach. Cóż, pewnie cały szpital trzęsie się od plotek.

- Jadę do domu. Doktor Fabrizzi będzie mnie dzisiaj zastępował.

- Oczywiście, proszę pana. - Trisha Adams była sekretarką idealną, lecz tym razem ciekawość wzięła górę. - Jak miewa się pańska żona?

- Dużo lepiej, dziękuję. - Nawet gdyby chciał, nie mógłby dodać niczego więcej, ponieważ sam nadal nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Katrina nagle pojawiła się właśnie tutaj.

Idąc do windy, spotkał Luke'a.

- Hola, pequeno! Como estas?

- Nie wiedziałem, że mówisz po hiszpańsku - zdziwił się Morgan.

- Nauczyłem się trochę podczas praktyki w Miami - wyjaśnił Luke. - Sanjit właśnie mi przekazał dobre wieści o twojej żonie. Chyba ci ulżyło.

- Owszem.

- Wiadomo, mogło być różnie. - Luke zerknął na malca i westchnął. - Coś mi się zdaje, że to spadło na ciebie jak grom z jasnego nieba?

- Nie przeczę. - Morgan nieoczekiwanie zapragnął zwierzyć się koledze, lecz jego pager właśnie zaczął pikać.

- Izba przyjęć - stwierdził Luke, zerkając na wyświetlacz.

- Muszę lecieć, ale mógłbym wpaść do ciebie wieczorem. Maggie ma przymiarke sukni ślubnej, a to potrwa całe wieki!

Ciepło w głosie Luke'a wspominającego o narzeczonej wzbudziło zazdrość Morgana. Nie był pewien, czy kiedykolwiek mówił w taki sposób o Kabinie.

- Chętnie z tobą pogadam. Może koło siódmej? Wpadnę tu jeszcze zobaczyć się z Katrinalą, a później spróbuję

przekonać tego młodzieńca, że pora spać. Na razie idzie mi kiepsko.

- Praktyka czyni cuda! - ze śmiechem zapewnił Luke i pomknął schodami w dół.

Morgan wsiadł z Tomaszem do windy i przytrzymał dwie małe rączki, by nie zostały przytrzaśnięte drzwiami. Przejęty dzieciak zaczął coś szybko paplać po hiszpańsku, ale Morgan pojął najwyżej połowę.

Idąc z chłopczykiem przez hol, ze strachem myślał o czekającej go rozmowie z Katriną. Wniosła w jego życie największą radość i największe cierpienie. Miał więc podstawy, aby obawiać się tego, co mu powie.

- Tak lepiej, prawda?

- O wiele - zapewniła Katrina, gdy pielęgniarka Beatrice Bosanko wsunęła jej pod plecy dwie poduszki. - Ale po tej przeprowadzce z intensywnej terapii jestem strasznie zmęczona.

- Nic dziwnego, dziewczyno. - Beatrice, pulchna czarnoskóra siostra, zaśmiała się gardłowo. - Przeszłaś poważną operację. Po czymś takim masz prawo czuć się słaba jak małe kociątko!

- Pewnie tak. Tyle tylko, że nie przywykłam do słabości, bo zazwyczaj jestem zdrowa jak rydz.

- Zazwyczaj nie wpada na ciebie wielka ciężarówka - stwierdziła Beatrice, a Katrina parsknęła śmiechem. - O, teraz lepiej. Nie wolno dopuścić, żeby moi pacjenci siedzieli z nosem na kwintę. Doktor Grey zmyłby mi głowę, bo... - Beatrice urwała, nagle zakłopotana.

- Tak, Morgan nie owija w bawełnę.

- To prawda. - Beatrice wygładziła koc i odeszła.

Katrina odprowadziła ją wzrokiem. Kobieta przystanąła i zamieniła kilka słów z koleżanką, po czym obie na nią spojrzały. A po chwili podszedł do nich Morgan i o coś spytał.

Katrina poczuła, że jej serce zaczęło szaleć, i odetchnęła głęboko, usiłując wziąć się w garść. Dziś rano zobaczyła Morgana po raz pierwszy od czterech lat i teraz chłonęła go wzrokiem.

Wysoka, atletyczna sylwetka wydawała się nieco szczuplejsza niż dawniej, jakby Morgan stracił kilka kilogramów. Ale wciąż był przystojny i - jak dawniej - bardzo zadbany.

Przesunęła spojrzeniem po ciemnych, gładko zaczesanych do tyłu włosach i twarzy o regularnych, wyrazistych rysach. Gdy podszedł bliżej, zauważyła, że jego skronie są przyprószone siwizną, a wokół oczu przybyło zmarszczek. W ciągu tych czterech lat chyba nie zaznał wiele szczęścia. Dlatego, że okazał się zbyt uparty, ale to mała pociecha, przemknęło Katrinie przez głowę.

- Jak się czujesz? - spytał, zaciągając zasłonkę wokół łóżka. Sięgnął po kartę i rzucił okiem na zapiski.

- Jeszcze trochę słabo, ale przeżyję.

Przygryzła wargi. Wiedziała, że Morgan zaraz zażąda od niej wyjaśnień, a ona będzie musiała ich udzielić. I obawiała się jego reakcji, ponieważ aż nadto dobrze знаła swego męża; nie sposób było na niego wpłynąć.

- Tomas uważa mnie za swego ojca. Dlaczego?

Rzeczywiście od razu przeszedł do sedna sprawy. Widocznie miał dosyć zżerających go od kilku dni wątpliwości. Katrina mogła sobie tylko wyobrazać cierpienie Morgana, ponieważ doskonale się maskował. Jak zwykle zresztą. Jedyne ona wiedziała, jakim wrażliwym jest człowiekiem. I teraz niestety musiała go zranić, bo nie miała innego wyjścia.

- Zobaczył kiedyś twoje zdjęcie i spytał, kim jesteś. Powiedziałam, że moim mężem, a on uznał cię za swojego tatę.



- Czemu nie wyprowadziłaś go z błędu? To jakaś gra, Katrino? A może chcesz stworzyć złudzenia, aby...

- Aby udawać, że nic się nie stało? Że nie kazałeś mi odejść, bo przestałeś mnie pragnąć? - spytała z goryczą w głosie i zauważyła, że się wzdrygnął. Jak na kogoś tak opanowanego, była to wielce wymowna reakcja.

- Nigdy nie mówiłem, że już cię nie pragnę. Wiesz, dlaczego postanowiłem zakończyć nasze małżeństwo.

- Tak. Wybacz, że to powiedziałam, Morgan. - Dotknęła jego ręki i zaraz cofnęła dłoń. Domyślała się, ile kosztuje Morgana zachowanie spokoju, powinna więc powstrzymać się od takich gestów, aby nie pogarszać sytuacji. - Przepraszam - szepnęła, a pod powiekami zapiekły ją łzy.

- W porządku - burknął. - Chcę tylko wiedzieć, o co chodzi.

Jego stanowczy ton pomógł jej zapanować nad wzruszeniem. Wiedziała, że musi przedstawić okoliczności obiektywnie i zaapelować do logiki Morgana. Emocje zawsze go drażniły i nie najlepiej sobie z nimi radził.

- Po naszym rozstaniu podjęłam pracę w instytucji charytatywnej, pomagającej bezdomnym dzieciom w Ameryce Południowej.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Nie było sensu cię informować. Nasz związek się rozpadł, więc uznałam, że moje sprawy cię nie obchodzą.

- Postąpiłem słusznie, Katrino.

- Zrobiłeś to, co wydawało ci się słuszne - poprawiła, patrząc na jego zaciśnięte pięści. - Zresztą teraz to i tak bez znaczenia. Trzymajmy się faktów. W Ameryce poznałam nastolatkę imieniem Rosa, od dawna mieszkającą w zasadzie na ulicy. Większość dzieciaków, z którymi mieliśmy tam do czynienia, żyła na skraju wielkich wysypisk i utrzymywała się - jeśli można to tak nazwać - z grzebania w śmieciach.

Katrinie nagle zrobiło się słabo, a Morgan bez słowa podał jej szklankę wody, ale nie mogła jej wziąć, bo zanadto drżała jej ręka.

- Pij. - Przysunął szklankę do warg Katriny. Poczowała jego długie palce, gdy podtrzymał jej głowę, i omal nie jęknęła, rozpoznając ten dotyk. Zakodowała go na zawsze w pamięci i była pewna, że nigdy, przenigdy go nie zapomni.

- Wystarczy? - spytał, gdy wypila kilka łyków.

- Tak - mruknęła, świadoma napięcia pobrzmiewającego w jego głosie. I nic nie mogła poradzić na to, że zaczęła myśleć o rozkosznych doznaniach, jakie wywoływały jego dłonie błądzące po jej ciele, gdy się kochali.

On zaś odstawił szklankę na nocną szafkę i usiadł, kierując wzrok na jakiś punkt z prawej strony.

- Mów dalej.

- Eee... Rosa mieszkała w szałasie z plastikowych płacht. Zajmowała go wraz ze swoim starszym o rok bratem imieniem Romano. Była śliczna, chociaż wiecznie głodna i zaniedbana. W przeciwieństwie do swoich rówieśników chciała się uczyć. Poświęcałam jej więcej czasu niż innym i chyba dlatego w końcu mi zaufała. A musisz wiedzieć, że tamte dzieciaki nie ufają nikomu.

- Wyobrażam sobie. Ale co to wszystko ma wspólnego z Tomaszem?

Powiedział to imię tak naturalnie, jakby często je wymawiał. To chyba dobry znak, pomyślała, uśmiechając się bezwiednie.

- Rosa była matką Tomasa.

- Ta nastolatka?

- Owszem. W tamtych realiach wiele bardzo młodych dziewcząt zachodzi w ciążę i nikt się tym nie przejmuje. Rosa urodziła Tomasa jako czternastolatka, ale to wydarzenie

okazało się dla niej przełomowe. Postanowiła bowiem, że jej synek będzie miał lepsze życie niż ona.

- Wciąż używasz czasu przeszłego. Ta dziewczyna nie żyje?

- W zeszłym roku zmarła na zapalenie opon mózgowych.

- Cóż za smutny koniec młodego życia. - Morgan ujął dłoń Katriny, jakby instynktownie wyrażał współczucie.

Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego gestu, lecz fakt, że był w stanie do tego stopnia okazać uczucia, dodał Katrinie odwagi.

- Rosa chyba spodziewała się śmierci. Musiałam obiecać, że zajmę się Tomaszem. I tak byłam dla niego jak druga matka.

- Pozwolono ci wywieźć go z kraju?

- Brat Rosy nie chciał się nim opiekować, a z dalszą rodziną od lat nie było żadnego kontaktu. Miejscowy ksiądz pomógł mi załatwić adopcję.

- Więc Tomasz formalnie jest twoim synem?

- Dla władz tamtego kraju - tak. Ale nasze ministerstwo spraw zagranicznych stwarza problemy. Wydali Tomaszowi wizę na półroczny pobyt.

- Co zamierzasz?

- Rozmawiałam z prawnikiem. Stwierdził, że chcąc zatrzymać Tomasza na stałe, muszę przeprowadzić adopcję u nas. Nie jest to łatwe. Najlepiej byłoby, gdyby Tomasa adoptowało małżeństwo. Matka i ojciec.

- Matka i ojciec - tępo powtórzył Morgan i nagle pobladł.

- Rozumiem. Chcesz rozwodu, Katrino. Oczywiście, nie będę stwarzał ci żadnych...

- Nie! Wcale nie o to mi chodzi. - Zaciśnęła palce na jego dłoni, nie zważając na to, że wbija mu w ciało paznokcie. - Nie proszę cię o rozwód, Morgan! Chcę, żebyś mi pomógł adoptować Tomasza... żebyś się zgodził zostać jego ojcem!

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie! - Morgan zerwał się równe nogi, niemal przewracając krzesło. Gapił się na Katrinę, totalnie zaskoczony. Cztery lata temu boleśnie ją zranił. Czyżby wymyśliła to wszystko, aby się zemścić?

- Morgan, błagam cię! Wiem, jaki to dla ciebie szok, ale...

- Jasne, że szok! - huknął, a ona bezwiednie wtuliła się w poduszkę. - Poza tym zdumiewa mnie twój tupet! Dlaczego to robisz, Katrino? Perwersyjnie lubujesz się w zadawaniu mi cierpienia?

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym cię nie skrzywdziła, Morgan. Za... zanedo mi na tobie zależy.

Zbladła tak bardzo, że jej orzechowe oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej lśniące. A Morgan błyskawicznie się opanował. Przecież ona niedawno przeszła poważną operację; powinna odpoczywać, a nie zajadle się kłócić.

- Już dobrze, uspokój się.

Ujął jej nadgarstek i sprawdził tętno. Było o wiele za szybkie. Zacisnął usta, nagle zły na siebie z powodu własnego zachowania. Jak mógł tak dalece się zacietrizwić, że zapomniał o bezpieczeństwie Katriny? Dopiero teraz dostrzegł w jej oczach łzy, które dzielnie usiłowała powstrzymać. I pomyśleć, że zawsze miał na względzie tylko jej dobro, a jednak to właśnie on sprawił jej najwięcej bólu.

- Wszystko w porządku, doktorze Grey? - Zza zasłonki wyjrzała Beatrice i niespokojnie zetknęła na Katrinę.

- Tak, dziękuję, siostrze - odparł chłodno, sugerując tym tonem, że powinna odejść. Zauważył, że Beatrice jeszcze raz obrzuciła jego żonę zmartwionym spojrzeniem. Czyżby obawiała się, że on znów ją zdenerwuje? Nie zamierzał tego zrobić. Już powiedział swoje, choć podejrzewał, że to nie załatwi sprawy.

Przypomniął sobie słowa Katriny i zrobiło mu się przykro. Usiłował tego nie okazać, gdy znów na nią popatrzył. Na szczęście już nie była taka przeraźliwie blada, chociaż nadal wyglądała niepokojąco krucho i delikatnie. A przecież zawsze imponowała mu swoją witalnością i radością życia.

- Chcę, żebyś się odprężyła i przestała martwić - powiedział autorytatywnym tonem, którym zwracał się do szczególnie krnąbrnych pacjentów. - Przeszłaś poważną operację i twój organizm potrzebuje czasu, aby wrócić do normy.

- Wiem. Przecież jestem pielęgniarką, Morgan, jeśli jeszcze pamiętasz.

- Pamiętam - odparł, zadowolony z jej cierpkich słów, świadczyły one bowiem o tym, że Katrina wzięła się w garść.

- Ale tutaj przebywasz jako pacjentka.

- Z pewnością mniej kłopotliwa niż ty, gdy złapałeś grypę! - odparła ze śmiechem.

- Naprawdę byłem aż taki okropny? - spytał burkliwie, choć jej radość podziałała na niego jak promienie słońca wychodzącego zza burzowej chmury.

- Okropny? To mało powiedziane! Bez przerwy marudziłeś i nie chciałeś leżeć w łóżku.

- Dopóki nie wymyśliłaś, jak mnie tam zatrzymać.

- Uhm. Tylko w łóżku umieliśmy zapomnieć o całym świecie i jego problemach, prawda, Morgan?

Powiedziała to cicho, jakby w zamyśleniu, a on natychmiast poczuł przyływ tęsknoty tak silnej, że omal nie jęknął.

Namiętność, która dawniej łączyła go z Katriną, barwiła ich życie jak wspaniała, kolorowa tęcza. A co gorsza, Morgan był pewien, że ta namiętność nie umarła wraz z ich nadziejami i marzeniami. Obecnie byłaby równie gorąca jak dawniej.

Odwrócił się, przerażony swoją podatnością na takie myśli. Nie mógł sobie pozwolić, aby cokolwiek przeszkodziło mu w dokonaniu obiektywnej oceny tej sytuacji.

- Morgan, wiem, że postępuję właściwie. Zrozum to, zanim będzie za późno. Przecież stawką jest cała przyszłość Tomasa.

- Tracisz czas, Katrino. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

- Obiecuj, że się nad tym zastanowisz.

- Nie muszę. - Spojrzał na nią, a ona ujrzała w jego zielonych oczach cierpienie, którego nie zdołał ukryć. - To nie byłoby w porządku.

- Dlaczego? Potrzebuję tylko twojego nazwiska. Nie oczekuję od ciebie niczego więcej. Pamiętam, co sądzisz o adopcji, ale tym razem to co innego. Tomas byłby twoim synem tylko formalnie. Nie miałbyś wobec niego żadnych zobowiązań - ani natury finansowej, ani emocjonalnej.

Nie odpowiedział. Nie był w stanie wykrztusić nawet jednego słowa. Gwałtownie odsunął białą zasłonkę i pomaszerował przez oddział prosto na dwór. Dopiero siedząc w aucie, zaczął się zastanawiać, czy powinien wrócić. Obawiał się jednak, że jest zanadto roztrzęsiony, aby pracować.

Włączył silnik, zerknął we wsteczne lusterko i ujrzał za samochodem przechodzącego przez jezdnię mężczyznę z dzieckiem. Ojciec i syn. Właśnie o tym marzył kiedyś z Kataną. Ale to jedno marzenie okazało się nierealne.

Ponieważ był bezpłodny. Nie mógł zostać ojcem. Nie mógł dać Katrinie dzieci, których tak bardzo pragnęła.

Nic dziwnego, że postanowiła adoptować Tomasa. Rozumiał ją, ale znów musiał ją rozczarować, choć na samą myśl o tym krwawiło mu serce.

Katrina przypuszczała, że nie będzie łatwo przekonać Morgana, ale nie spodziewała się takiej reakcji. Zamrugła powiekami, aby powstrzymać łzy i nie okazać zdenerwowania, gdy do jej łóżka podszedł doktor Fabrizzi.

- Jak długo muszę tutaj zostać? - spytała, odpowiedziawszy najpierw na jego pytania o samopoczucie.

- Chciałbym dostać dolara za każde takie pytanie. Byłbym już bogaty!

- Przepraszam - mruknęła.

- Nie ma za co. Tylko żartowałem. Ale na pani miejscu wziąłbym pod uwagę jakieś trzy tygodnie. Złamanie szyjki kości udowej to poważny uraz. Założyłem gwoździe i specjalne płytki, ale wszystko musi się wygoić. A normalnie chodzić zacznie pani za cztery, pięć miesięcy.

- Pięć miesięcy?! A co z moją pracą? Nie mogę wziąć tyle wolnego.

- Nie ma wyjścia. Jako pielęgniarka dobrze pani wie, że nie wolno nadwreżyć złamanego miejsca, zanim kości porządnie się zrosną. - Luke umilkł i po chwili dodał, starannie dobierając słowa: - Morgan nie wspomniał, że pani pracuje, ale firma na pewno pójdzie pani na rękę. Przecież nikt celowo nie łamie sobie nogi.

- Raczej nie - odparła, myśląc o Morganie.

Nic o niej nie mówił, bo nie wiedział, co porabiała w ciągu minionych czterech lat. Ona także nie miała pojęcia o jego życiu w tym czasie. Niewiarygodne, że dawniej nawet rozstanie na kilka godzin wydawało się im obojgu wiecznością.

Ale teraz należy skupić uwagę na sprawach bieżących. Wygląda na to, że życie stanie się nadzwyczaj trudne. Pieniądze w banku stopniały prawie do zera, a podjęcie pracy nagle odsunęło się o kilka miesięcy.

Po odejściu doktora Fabrizziiego Katrina ciężko westchnęła, zmartwiona dodatkowymi problemami. Gdyby chociaż zdołała przekonać Morgana, by pomógł jej adoptować dziecko. Ale wiedziała, że bywa nieprzejednany, jeśli już coś wbije sobie do głowy.

Gdy wieczorem przyjechał Luke, Morgan nadal usiłował przekonać Tomasa, że pora iść do łóżka. Z dzieckiem na rękach otworzył drzwi i odsunął się na bok, aby wpuścić kolegę.

- Widzę, że mały wciąż na chodzie - stwierdził Luke.

- O której zasypia?

- O której ma ochotę. - Morgan wprowadził gościa do salonu i postawił Tomasa na podłodze, ale zaraz znów chwycił go w ramiona, bo malec głośno zaprotestował.

- Chyba się boi, że go porzucę. Natychmiast płacze, ilekroć spróbuję na moment się oddalić.

- To zrozumiałe. Pewnie przeżył szok, rozstając się z matką.

- Prawdopodobnie. - Morgan klapnął na kanapę i posadził sobie dziecko na kolanach. Miał na sobie koszulę wymiętoszoną małymi rączkami, chętnie wziąłby prysznic i zrobił sobie drinka, ale najpierw musiał położyć Tomasa.

- Przyznaję, że był grzeczny, ale dzisiaj cały czas wisi mi na szyi.

- Może wyczuł twoje zdenerwowanie. Dzieciaki miewają imponującą intuicję.

- Rzeczywiście wróciłem trochę zirytowany.

- Cóż, sytuacja jest trudna i delikatna. - Luke zmierzył go badawczym spojrzeniem. - Wiem od jednej z pielęgniarek, że się wkurzyłeś, a Katrina sprawiała wrażenie zmartwionej, gdy do niej zajrzałem.

Morgan wstał i tuląc Tomasa, podszedł do okna. Koniecznie musi opowiedzieć komuś o tym, co dzisiaj zaszło.



- Katrina prosiła, żebym jej pomógł adoptować Tomasa. Oświadczyłem, że nie mogę tego zrobić.

- Nie mogę czy nie chcę?

- I jedno, i drugie. Katrina wie, co sędzę o adopcji!

- Więc kiedyś poruszaliście ten temat?

- Tak. - Morgan nie lubił się zwierzać, ale teraz rozpaczliwie potrzebował dobrej rady. - Tak się składa, że jestem bezpłodny.

- Dlatego się rozstaliście? Bo Katrina nie mogła pogodzić się z myślą, że nie urodzi waszego dziecka?

- Nie. Katrina oczywiście była załamana, twierdziła jednak, że nadal mnie kocha. - Morgan odchrząknął, zakłopotany swoim wibrującym z emocji głosem. - Ale ja wiedziałem, że nie wolno mi wykorzystać tego faktu.

- Przecież nadal jesteście małżeństwem, prawda? Podobno powiedziałeś w izbie przyjęć, że Katrina to twoja żona.

- Widzę, że wieści szybko się rozchodzą. - Morgan uśmiechnął się blado. - Tak, to prawda. Mój adwokat nie zdołał wręczyć Katrinie papierów rozwodowych, ponieważ znikła.

Rzeczywiście nie miał wtedy pojęcia, gdzie się podziała. Chciał jej szukać, ale tego nie zrobił. Uznał bowiem, że powinien zwrócić jej wolność, dać szansę na ułożenie sobie życia od nowa.

- Tak, z prawnego punktu widzenia jestem jej mężem.

- I ona teraz pragnie adoptować tego młodzieńca? - Luke z sympatią spojrział na malca. Powieki Tomasa już zaczęły mu ciążyć, ale chłopiec wciąż mocno obejmował Morgana za szyję.

- Owszem. - Morgan powtórzył koledze dzisiejszą rozmowę z Katrina.

- Dlaczego tak się upierasz? Skoro Katrina obiecała, że nie będzie niczego od ciebie żądać, to musiałbyś tylko pomóc jej załatwić formalności. Sądzę, że możesz jej ufać więc w czym problem?

- To wszystko byłoby oparte na kłamstwie! - Morgana zirytowało stanowisko Luke'a. - Przecież nie zostałem ojcem Tomasa. Dałbym mu tylko swoje nazwisko napisane na kawałku papieru!

- I właśnie to cię najbardziej martwi?

- Ciebie by nie martwiło?

Morgan nie był w stanie wyjaśnić koledze, dlaczego idea adopcji działa na niego jak płachta na byka. Nigdy nikomu nie mówił o swoim dzieciństwie. Nawet Katrinie nie powiedział o sobie wszystkiego. Szkoda, że tego nie uczynił. Może gdyby знаła całą prawdę, to nie zwróciłaby się do niego z tą idiotyczną prośbą.

Z ulgą powitał dzwonek telefonu, ponieważ w tej chwili nie czuł się na siłach, aby cofać się w myślach do swojej przeszłości. Sięgnął po słuchawkę i po chwili spojrzał na Luke'a.

- Na autostradzie zdarzył się kolejny duży wypadek. Wzywają nas do szpitala. - Nagle skonstatował, że nadal trzyma na rękach Tomasa. - Na litość boską, co ja z nim zrobię?

O pierwszej w nocy Morgan nadal operował. Podobnie jak Luke i Kanadyjczyk Armand St Juste, który przyjechał do Anglii w ramach wymiany chirurgów.

Wszystko wskazywało na to, że Morgan zostanie w sali operacyjnej jeszcze z godzinę. W tej właśnie chwili zajmował się poważnie ranną młodą kobietą, Sandrą Sullivan. W wyniku uderzenia klatką piersiową o kolumnę kierownicy nastąpiło złamanie mostka i przemieszczone kości ominęły serce dosłownie o milimetr. Złożenie ich wymagało wielkiej

precyzji, ale w tej chwili Morgan był pewien, że zasadnicze niebezpieczeństwo już minęło.

- Może założy pan ostatnie szwy? - zaproponował asystującemu mu Robinowi White'owi.

Pod czujnym okiem Morgana Robin ochoczo wykonał zadanie.

- Wspaniale pan sobie dzisiaj radził - stwierdził Morgan. - Ma pan zadatki na znakomitego ortopedę.

- Dziękuję, doktorze! - zawołał rozpromieniony Robin.

Morgan zauważył w jego oczach błysk zdumienia i sam się zdziwił. Czyżby ostatnio rzadko chwalił młodszych kolegów? Powinien częściej mówić zasłużone komplementy. A swoją drogą ciekawe, dlaczego w ogóle przyszło mu to do głowy. Może z powodu Katriny nagle stał się nieco wrażliwszy?

Rozstroiła go ta możliwość. Gniewnie zacisnął wargi, wyrzucił poplamiony drelich i poszedł się umyć. Nie wolno dopuścić, aby myśli o Katrinie rozpraszały go podczas wykonywania obowiązków. Trudno jednak było o niej zapomnieć, skoro leżała właśnie tutaj.

Ciekawe, czy już śpi. A może niepokoi się o Tomasa? Ten problem niewątpliwie może przyprawić ją o bezsenność.

Morgan jeszcze bardziej się zasepił. Owszem, łatwo mógłby pomóc go rozwiązać, ale nie uważał tego za słuszne.

Dokończył szorować ręce i włożył je w podsunięte przez pielęgniarkę rękawiczki. Czekająca go kolejna operacja, postanowił więc chwilowo zapomnieć o sprawach osobistych. Wiedział, że już wkrótce będzie musiał się nimi zająć. Wcale nie cieszyła go ta perspektywa.

Katrina zdawała sobie sprawę, że potrzebuje wypoczynku, lecz mimo najszczerzych chęci nie mogła tej nocy zmrużyć oka. Nie tylko dlatego, że na oddziale panował duży ruch. Miała powody, by martwić się o przyszłość. Niewielkie

oszczędności prawie się skończyły, a trzeba było płacić czynsz oraz utrzymać siebie i Tomasa.

Do tego dochodziły jeszcze honoraria prawnika, który zająłby się przeprowadzeniem adopcji. Nie zamierzała z tego zrezygnować, nawet gdyby Morgan zdecydowanie odmówił jakiegokolwiek pomocy.

Usłyszała szmer otwieranych drzwi i jej serce zabiło szybciej, gdy ujrzała wchodzącego na oddział Morgana. Nie spodziewała się dzisiaj go zobaczyć. Nadal miał na sobie zielony strój, więc pewnie szedł prosto z sali operacyjnej. W przyćmionym świetle wydawał się jeszcze potężniej zbudowany niż zwykle, i dziwnie groźny, choć niewątpliwie był zmęczony, o czym świadczyły bruzdy po obu stronach zaciśniętych ust i sińce pod oczami.

Katrina ze zdziwieniem skonstatowała, że mimo upływu czasu widok Morgana działa na nią tak samo silnie jak dawniej.

Gdy mijał jej łóżko, ich oczy na moment się spotkały. Katrina odniosła wrażenie, że na tę jedną, przelotną chwilę ich dusze znów splotły się ze sobą w niepowtarzalny, cudowny sposób. Może więc istnieje cień szansy, że rozwiążą aktualny problem, jeśli tylko zdołają się porozumieć bardziej skutecznie niż podczas ostatnich, okropnych miesięcy ich małżeństwa.

Przymknęła powieki, osłabiona tym nieoczekiwanym przyływem nadziei, i zapadła w lekką drzemkę. Zbudziła się, gdy Morgan przysiadł na brzegu jej łóżka.

- Nie możesz spać? - spytał cicho.
- Za duży ruch - szepnęła.
- To już druga taka noc z rzędu. Padam na nos ze zmęczenia. Robię się na to za stary.
- Nonsens. Nie jesteś stary, Morgan. Nie aż tak - zaprzeczyła żartobliwie, a on wzniosł oczy ku niebu.

- Zawsze umiałaś mnie usadzić, Katrino!

- Ktoś musiał - odparła, zadowolona z lekkiego tonu ich pogawędki. - Wszyscy zawsze rozpływali się nad tobą w zachwytach. Dziwne, że twoje ego nie spuchło do rozmiarów drapacza chmur.

- Przy tobie? Wykluczone. Od początku nie ukrywałaś, że nie robię na tobie wrażenia.

- Bo chciałam wyróżniać się z tłumu, żebyś mnie zauważył, a nie traktował jak jeden z wielu sprzętów.

- To nigdy ci nie groziło.

Zadrżała, usłyszawszy w jego głosie niską, wibrującą nutę, i bezwiednie wstrzymała oddech, ponieważ w zielonych oczach pojawił się ciepły błysk.

- Naprawdę? - Może to głupie, ale tak bardzo pragnęła, aby Morgan potwierdził, że dawno temu działała na niego jak nikt inny.

- Oczywiście. Od razu wiedziałem, że jesteś nadzwyczajna. - Morgan westchnął ciężko, a światło w jego oczach przygasło. - Ale to było wieki temu, prawda? Od tego czasu tyle się zmieniło... Już pójdę - dodał chłodnym tonem, raptownie wstając. - Coś cię boli? Chcesz jakąś tabletkę?

- Nie, dzięki. - Usiłowała nie okazać, jak bardzo jest jej przykro z powodu jego obojętności. Owszem, ich małżeństwo się skończyło, i już się z tym pogodziła, ale bolała ją świadomość, że Morgan skwitował ich wspólną przeszłość jednym banalnym zdaniem.

Dopiero po chwili ze zdziwieniem stwierdziła, że on nadal stoi przy łóżku i ma zakłopotaną minę. Czyżby żałował swoich niedawnych słów? Chociaż... co za sens, żeby oboje udawali? Powinni raczej być wobec siebie absolutnie uczciwi, nawet jeśli to sprawia ból.

- Tomas ma się dobrze. Została z nim pani Mackenzie, moja gosposia. Tomas ją lubi, więc się nie martw.

- Wiem, że zadbasz o niego najlepiej, jak możesz, Morgan. Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu bez wahania powierzyłabym to dziecko.

Zauważyła, że się zmieszał, po czym nieoczekiwanie się schylił i pocałował ją w czoło. Pocałunek trwał najwyżej sekundę, lecz i tak wywołał falę żaru, która rozeszła się po całym ciele Katriny.

A Morgan raptownie się wyprostował, najwyraźniej zszokowany tym, co właśnie uczynił, zaś Katrina nie posiadała się ze zdumienia. Przecież on nigdy nie działał pod wpływem impulsu! Zrobił to chyba po raz pierwszy w życiu.

- Spróbuj usnąć - mruknął, odchodząc od łóżka.

- Tak. Dobranoc, Morgan - szepnęła, lecz nie odpowiedział. Może jej nie usłyszał, a może wołał niczego nie mówić, bo się obawiał, że powie coś, czego później będzie żałował.

Ta myśl nastroiła Katrinę optymistycznie i długo kołatała się jej po głowie.

Zabawne, że jedno głupie „może” potrafi wywołać takie skutki.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz o ósmej rano Morgan już siedział przy biurku. Miał za sobą bezsenłą noc i było to po nim widać. Nie zmrużył oka głównie dlatego, że pocałował Katrinę. Do tej pory nie mógł pojąć, dlaczego to zrobił. Co w niego wstąpiło?

Pokręcił głową i postanowił skupić uwagę na problemach pacjentów, a nie własnych. Wymaszerował z gabinetu, płosząc Robina, który gawędził z Trishą, jedząc paczka. Na widok Morgana zaczął rozpaczliwie szukać wzrokiem miejsca, gdzie mógłby odłożyć swój smakołyk.

- Kosz jest pod biurkiem pani Adams - syknął Morgan. - A w przyszłości proszę zjeść śniadanie, zanim uszczęśliwi nas pan swoją obecnością, doktorze White.

- Eee... tak, oczywiście, sir. - Biedny Robin wyrzucił nadgryzione ciastko i pośpiesznie wytarł palce w podaną przez sekretarkę higieniczną chusteczkę.

Morgan wyszedł na korytarz, udając, że nie widział, jak młodszy kolega znaczącym gestem przejechał palcami po gardle. Czekał na windę, gniewnie przytupywał. Nawet sam przed sobą nie chciał przyznać, że jest zirytowany. Że w ogóle cokolwiek czuje! Ale prawda była taka, że całując Katrinę, zburzył swój cały, starannie poukładany świat. Niech ją wszyscy diabli!

- Mam nadzieję, że zaraz weźmie się pan do roboty - warknął do Robina, który wszedł za nim do windy. - Ortopedia to najbardziej ruchliwy oddział w całym szpitalu i wszyscy muszą należycie wykonywać swoje obowiązki.

- Wiem, doktorze. I przepraszam. To już się nie powtórzy.

- Oby - cierpkim tonem mruknął Morgan i zaraz pożałował, że wyżywa się na podwładnym. - Proszę mi wybaczyć. Powinienem wziąć pod uwagę fakt, że spędził pan tu prawie całą noc. O której poszedł pan spać?

- Eee... chyba po drugiej. - Robin wyraźnie się zdumiał nieoczekiwanymi przeprosinami. - Ale pan pewnie się położył jeszcze później.

- Koło trzeciej. Równie dobrze mogłem zostać na oddziale i zdrzemnąć się w dyżurce.

Morgan nie miał pojęcia, dlaczego to mówi. Do tej pory w rozmowach z personelem zawsze ograniczał się do tematów wyłącznie zawodowych.

Na oddziale rozejrzał się po sali, wmawiając sobie, że chce z grubsza ocenić sytuację. Ale naprawdę usiłował tylko zapanować nad chęcią podejścia do Katriny. Miał zajmować się nią do końca tygodnia, podczas chwilowej nieobecności Luke'a Fabrizziego. Gdyby jednak pognał teraz prosto do niej, za godzinę wiedziałby o tym cały szpital.

Dyskretnie zerknął na łóżko Katriny i z przerażeniem stwierdził, że jest puste.

- Dzień dobry.

Odwrócił się, słysząc za sobą znajomy głos. Katrina siedziała na wózku, z zagipsowaną nogą opartą na uniesionym podnóżku. Miała na sobie frotowy szlafrok, do którego na ramionach przylgnęły mokre włosy w kolorze ciemnego miodu. Wyglądała świeżo, pachniała mydłem i talkiem, a Morgan nagle przypomniał sobie wszystkie poranki, gdy przychodziła do niego właśnie taka jak teraz - tuż po kąpieli.

- Dobrze się czujesz? - spytał troskliwie, kucając obok fotela.

- Jasne, że tak. - Zaśmiała się cichutko, chyba trochę zakłopotana jego nadzwyczajną troską.

Poczuł, że się rumieni, i pośpiesznie się podniósł. Co się z nim dzisiaj dzieje? Pierwszy raz zrobił z siebie widowisko i był naprawdę wkurzony.

- Zauważyłem, że cię nie ma, i zastanawiałem się, czy w nocy nie pojawił się jakiś problem. - Jakim cudem zdobył się



na taki chłodny ton? Ale musiał on być rzeczywiście lodowaty, bo jego żona natychmiast posmutniała.

- Siostra Bosanko pomogła mi wziąć prysznic. - Głos Katriny zabrzmiał cicho i bezdźwięcznie.

- Rozumiem. - Morgan utkwiał wzrok w pielęgniarce, żeby nie zrobić z siebie jeszcze większego głupca. Najchętniej przeprosiłby Katrinę za swoją opryskliwość, ale jaki miałoby to sens? Lepiej żeby okazywali sobie nawzajem obojętność, zamiast silić się na sympatię, której prawdopodobnie do siebie nie czuli. - Pacjentka po raz pierwszy na dłużej wstała z łóżka, siostrze?

- Tak, panie doktorze.

Morgan dostrzegł w czarnych oczach pielęgniarce iskierki rozbawienia. Z pewnością zauważyła, jak przed chwilą wpadł w panikę, i zinterpretowała to na swój własny sposób!

- Proszę więc natychmiast ją położyć - polecił stanowczo, ignorując domyślne spojrzenie siostry Bosanko.

Ruszył dalej, zamierzając skupić całą uwagę na pracy. Od czterech lat była jego jedynym prawdziwym oparciem i chciał, aby nim pozostała. Nie mógł dopuścić, aby cokolwiek zmieniło ten racjonalny układ.

Nawet Katrina?

Zwłaszcza ona!

Godzinę później Morgan kończył obchód i wraz z kilkoma współpracownikami oraz studentami zatrzymał się przy łóżku Sandry Sullivan, aby omówić przebieg wczorajszej operacji. Po krótkim namyśle scedował ten obowiązek na Robina.

Młody lekarz zaczął opisywać stan pacjentki po przywiezieniu jej do szpitala, a Morgan prawie natychmiast przestał słuchać, ponieważ tuż obok leżała Katrina. Skarcił się w duchu za tę karygodną nieuwagę, lecz wystarczyło, że usłyszał śmiech Katriny, aby znów popatrzył w jej kierunku.

Jej włosy o odcieniu miodu już wyschły i każdy ruch głowy sprawiał, że lśniły jak płynne złoto.

Morgan zacisnął pięści, wbijając paznokcie w skórę, lecz nadal myślał o tym, jakie cudownie jedwabiste w dotyku były włosy Katriny, jak pięknie wyglądały rozrzucone na poduszce, gdy się kochali...

- Doktorze Grey? Sir?

Morgan raptownie powrócił do rzeczywistości. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco, więc odchrząknął, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Że też dwa razy w ciągu jednego dnia musiał zrobić z siebie durnia!

Nie zdążył jednak się odezwać, ponieważ Sandra Sullivan nagle zawołała:

- Muszę stąd wyjść, doktorze! Natychmiast! Mówiłam to pielęgniarce, ale ona kazała mi porozmawiać z panem. Proszę mnie zrozumieć... nie mogę tu zostać!

Morgan usłyszał w jej głosie nutę hysterii. Po odzyskaniu przytomności Sandra przez cały czas była bardzo zdenerwowana, więc już raz próbował jej wyjaśnić, że przeszła naprawdę poważną operację. Ale pacjentka nie przyjmowała tego do wiadomości.

- Pani Sullivan, wykluczone, żebym zgodził się na wypisanie ze szpitala - oświadczył stanowczym tonem. - Aktualnie pani stan jest stabilny, lecz pęknięcie mostka omal pani nie zabiło. Musi pani pozostać na obserwacji, ponieważ zabieg był trudny i nie możemy dopuścić do jakichkolwiek komplikacji.

- Ale ja muszę stąd wyjść! Nie może mnie pan tu zatrzymać!

- Proszę się położyć! - Morgan dał susa w jej stronę, gdy Sandra odrzuciła koc i spróbowała wstać. Zaraz jednak jęknęła i opadła na pościel. - Zrobi sobie pani krzywdę! - Spojrzał na

siostrę oddziałową. - Proszę przynieść dziesięć miligramów diazepamu - polecił krótko.

Pielęgniarka pośpiesznie wykonała polecenie. Morgan zrobił zastrzyk i spojrzął na stojących wokół łóżka ludzi. Podobnie jak on, byli zaskoczeni zachowaniem kobiety. Musiał wyjaśnić, w czym problem, uznał jednak, że lepiej porozmawiać z Sandrą w cztery oczy.

- Zróbcie sobie państwo małą przerwę - zasugerował i poczekał, aż współpracownicy się oddalą.

Następnie przysunął krzesło i usiadł.

- Co panią tak niepokoi, pani Sullivan? - spytał łagodnie.  
- Chodzi o jakiś domowy problem? Może nasz pracownik socjalny spróbuje go rozwiązać?

- Nie potrzebuję żadnej pomocy. - Sandra otarła oczy wierzchem dłoni. Była dosyć ładną kobietą, lecz ból i napięcie sprawiły, że na jej twarzy pojawiły się głębokie bruzdy. - Muszę tylko wyjść ze szpitala.

- Na razie to niemożliwe. Zostanie pani u nas przynajmniej tydzień, a później ktoś musi się panią opiekować.

- Tydzień?! Nie mogę zostać tak długo!

- Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę nie pojmuję, dlaczego tak bardzo się pani upiera. Zapewniam, że zachowam w tajemnicy wszystko, co od pani usłyszę. Jeśli więc jest jakiś problem, to jakoś sobie z nim poradzimy,

Przez chwilę czekał cierpliwie, ale Sandra milczała, więc wstał i uspokajająco poklepał ją po ręce. I zaraz zdumiał się tym gestem. Zawsze dbał o dobro swych pacjentów, ale interesowało go jedynie ich samopoczucie fizyczne. Natomiast teraz współczuł tej kobiecie i usiłował zrozumieć, czego ona tak bardzo się obawia.

Rozstroiło go to spostrzeżenie. A co gorsza, zerknął na Katrinę i zauważył błakający się na jej wargach uśmiech, zaś

jej serdeczne spojrzenie podziało tak jak zwykle - Morgan poczuł, że robi mu się ciepło na sercu.

Westchnął, niepewny, czy widziała, że właśnie zrobił coś zupełnie nie w swoim stylu. A jeśli tak, to czy ona również się zdziwiła?

Nie miał pojęcia, ale wątpliwości sprawiły, że poczuł się jeszcze bardziej niepewnie, a na to absolutnie nie mógł sobie pozwolić. Cztery lata temu postanowił, że nigdy więcej nie dopuści do sytuacji, która złamie mu serce. Ale teraz, gdy znów pojawiła się Katrina, miał się czego obawiać.

Sięgnęła po ilustrowane czasopismo, lecz litery tańczyły jej przed oczami, ponieważ nadal była zszokowana zachowaniem Morgana. Potraktował tę kobietę tak troskliwie...

Och, zawsze był wspaniałym lekarzem i poświęcał swym pacjentom maksimum uwagi, ale zachowywał specyficzny dystans. Natomiast przed chwilą starał się wczuć w położenie Sandry i zrozumieć, co nią kieruje.

Na myśl o tym Katrina poczuła przypływ nadziei. Może Morgan jednak się zgodzi jej pomóc? Nadal była przyjemnie podekscytowana, gdy podszedł do niej wraz ze swoją świtą. Uprzejmie skinął głową i zwrócił się do studentów:

- Pani Grey jest pacjentką doktora Fabrizziego, lecz ja chwilowo go zastępuję. - Szybko wyjaśnił, w jaki sposób zreperowano kość udową, następnie odpowiedział na pytanie o rodzaje zastosowanych gwoździ.

W przeciwieństwie do większości specjalistów, Morgan nie uważał studentów odbywających praktykę za zło konieczne i nie skąpił im czasu. Również i teraz wyczerpująco opisał kolejne etapy wykonanego zabiegu. Katrina była jednak zirytowana tym, że rozwodząc się nad zaletami użytych gwoździ wewnątrzszpikowych, Morgan ani razu nie spojrzał

na nią. Nie jest miło czuć się jak omawiany eksponat, więc w końcu nie wytrzymała.

- Odnoszę wrażenie, że zamierza pan opisać mój przypadek w prasie fachowej, doktorze Grey - wycedziła, napotykając spojrzenie jego zielonych oczu. - Może strzeli pan jakiś artykuł do czasopisma „Lancet”?

- To sprawa doktora Fabrizziego. - Morgan posłał jej najchłodniejszy ze swych uśmiechów. - Nie zamierzam wchodzić w jego kompetencje.

- Oczywiście, że nie. Ale jako ordynator oddziału chirurgicznego dozoruje pan leczenie każdego pacjenta, prawda? - spytała słodziutko. Ani myślała dać się usadzić.

- Zgadza się, pani Grey. Podlega mi w zasadzie wszystko, co dzieje się na ortopedii. - Aż do przesady uprzejmy ton Morgana stał w jawnej sprzeczności z jego morderczym spojrzeniem.

Katrina miała ochotę parsknąć śmiechem. A więc jednak zdołała wyprowadzić z równowagi tego zawsze opanowanego osobnika. Niech sobie nie myśli, że ona pozwoli się ignorować!

Skonstatowała, że on nadal mówi, i sporo jej satysfakcji wyparowało, gdy Morgan dodał:

- Ale niezmiernie rzadko muszę ingerować w leczenie cudzych pacjentów, a w tym przypadku z pewnością nie okaże się to konieczne. Aż do dnia wypisu pani ze szpitala będzie się panią zajmował doktor Fabrizzi.

Morgan odwrócił się i ruszył dalej wraz z towarzyszącymi mu osobami, a Katrina, niewiele myśląc, pokazała mu język. A Morgan właśnie spojrzał przez ramię na jednego ze studentów i przy okazji zobaczył, co zrobiła.

Dostrzegła na jego twarzy cień jakiegoś uczucia, lecz z tej odległości nie umiała go zinterpretować. Spuściła wzrok i

poczuła, że czerwieni się ze wstydu, bo zachowała się jak głupia smarkula!

Podniosła głowę, uświadomiwszy sobie, że Morgan wrócił. Od razu stwierdziła, że jest zirytowany, lecz miał do tego prawo. Nie powinna pozwalać sobie na takie dziecinne wyskoki.

- Przepraszam - mruknęła. - To było w przedszkolnym stylu.

- Dobrze, że przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę. Katrino, znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, ale spróbujmy traktować się nawzajem jak dorośli ludzie.

- Masz rację, ale... - Urwała, by się nie ośmieszyć, wyrzucając mu, że okazał Sandrze więcej zainteresowania niż jej.

- Ale co? - Morgan westchnął, gdy pokręciła głową. - No dalej, powiedz, co ci leży na wątrobie. Przecież zawsze lubiłaś mi wygarnąć, nie bacząc na konsekwencje!

- Może już z tego wyrosłam. - Skrzywiła się, gdy z niedowierzaniem uniósł brwi. - zresztą... co mi tam. Wkurzyłam się, bo przed chwilą celowo mnie ignorowałeś.

- Ignorowałem?

- Jasne, że tak. Stałeś nade mną, gadając o tych wszystkich gwoździach, w ogóle nie zwracając na mnie uwagi. To było... przykre.

- Hm... naprawdę? Cóż, chyba można to uznać za odruch warunkowy.

- Nie rozumiem.

- Rzecz w tym, że nie najlepiej radzę sobie z aktualną sytuacją i dlatego bezwiednie się bronię, ignorując cię, choć nawet sobie tego nie uświadamiam.

Wzruszyła się jego szczerością. Dawny Morgan nigdy nie mówił o swoich uczuciach tak otwarcie.

- A ja niczego Ci nie ułatwiam, strojąc fochy jak głupiutkie dziecko, prawda? - Przepraszającym gestem musnęła palcami dłoń Morgana i natychmiast cofnęła rękę. Nie powinna sobie pozwalać na takie czułości. - Uwierz mi, Morgan, nie chciałam niczego ci utrudniać.

- Problem w tym, że nie mogę dać ci tego, czego ode mnie żadasz.

- Możesz, ale nie chcesz. I tym samym odbierasz dziecku szansę na szczęśliwą przyszłość. - Musiała teraz poruszyć ten temat, bo usłyszała w głosie Morgana nutę zdecydowania. Czyżby już postanowił, że nie pomoże?

- Nie przesadzaj. - Zerknął na czekających w pobliżu ludzi i westchnął. - Zresztą nie pora, aby o tym mówić.

- A kiedy porozmawiamy? Sam widzisz, że mnie zawsze można tu zastać. Nigdzie się nie wybieram, więc podaj godzinę, która najbardziej ci odpowiada!

- Może dzisiaj po pierwszej. Przyjdę prosto z bloku operacyjnego i załatwimy sprawę raz na zawsze. Ale ostrzegam: nie dam się wrobić w coś, czego nie uważam za słuszne.

Odwrócił się i odszedł, a Katrina oparła się o poduszki i zamknęła oczy. Serce łomotało jej tak silnie, jakby miało zaraz eksplodować. Musiała jednak zapanować nad wzburzeniem i zastanowić się, jak przekonać Morgana.

Wiedziała, że może ponieść klęskę. Tak samo jak wtedy, gdy usiłowała mu unaocznic, że nie powinni się rozstawać, on zaś nawet nie chciał wysłuchać jej argumentów. Ale tym razem chodziło nie tylko o nich; pod znakiem zapytania stała przyszłość małego dziecka.

Katrina westchnęła ciężko. Przyjechała tutaj tylko ze względu na Tomasa.

Czy aby na pewno tylko dlatego? - szepnęło sumienie. Czy przypadkiem nie chciała zobaczyć się z Morganem również z innego powodu?

Dosyć tych rozważań, pomyślała z irytacją. Nie mogła sobie pozwolić, aby ją rozpraszały. Najważniejszy jest Tomas. Tylko on!



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ostatnia operacja okazała się najbardziej skomplikowana, ale Morgan lubił takie wyzwania. Pacjentem był trzydziestoletni Graham Walker, który w narciarskim wypadku poważnie uszkodził sobie prawy nadgarstek. Po tego typu złamaniach często pojawiały się komplikacje, które mogły w dużym stopniu ograniczyć zdolności ruchowe ręki. A pan Walker był wiolonczelistą.

Morgan kolejny raz zerknął na rentgen i wrócił do stołu operacyjnego.

- Możemy zaczynać - lekkim tonem oznajmił Dave Carson. Zawsze był na luzie, lecz cieszył się opinią jednego z najlepszych anestezyjologów w kraju i Morgan lubił z nim współpracować. Udział Carsona gwarantował, że zabieg będzie można przeprowadzić w komfortowej atmosferze.

- Skalpel - powiedział Morgan, a asystująca pielęgniarka położyła mu na dłoni ostre narzędzie.

Większość chirurgów po prostu unieruchomiłaby uszkodzony przegub opatrunkiem gipsowym, Morgan obawiał się jednak, że w tym przypadku zostało uszkodzone również ścięgno. Otworzył torebkę stawową i jego podejrzenia się potwierdziły. Ścięgno łączące przedramię z kciukiem było zerwane i wymagało naprawy.

Morgan doskonale wiedział, że powinien wykonać niezbędne czynności nadzwyczaj delikatnie i precyzyjnie. Zbyt silne naciągnięcie ścięgna mogło upośledzić pracę całej dłoni pacjenta. Dlatego skupił uwagę na polu operacyjnym, odzywając się tylko wtedy, gdy musiał wydać polecenie osobom asystującym. W przeciwieństwie do wielu chirurgów wolał operować w ciszy, a jego zespół to szanował. Zakładając ostatnie szwy, Morgan był zadowolony z rezultatów. Wszystko wskazywało na to, że Graham Walker znów będzie grał na wiolonczeli.

Morgan podziękował współpracownikom, wrzucił do kosza przy drzwiach zielony czepek oraz fartuch i udał się prosto do szatni. Wziął szybki prysznic i ubierając się, stwierdził, że jest już pierwsza trzydzieści. O drugiej miał zebranie z dyrektorem administracyjnym i nie był pewien, czy zdąży zobaczyć się z Katriną. Waśnie zastanawiał się, co zrobić, gdy ktoś zapukał i zza drzwi wyjrzała Aileen Roberts, siostra przełożona na bloku operacyjnym.

- Mam dla pana wiadomość. Dzisiejsze spotkanie z panem Hopkinsem zostało odwołane.

- Dobrze, dziękuję.

Westchnął ciężko, gdy Aileen odeszła. Zdawał sobie sprawę z tego, że traktował dzisiejsze spotkanie jako wymówkę pozwalającą przełożyć rozmowę z Katriną. Nie chciał jej zranić swą odmową, ale nie miał wyboru. Za nic w świecie nie mógł się zgodzić na udział w realizacji tego idiotycznego planu!

Celowo usiłował się zirytować, aby łatwiej przyszło mu stawić czoło Katrinie. Podchodząc do łóżka, stwierdził, że na jej twarzy maluje się napięcie. Nie zamierzał jednak mówić niczego kojącego, bo byłoby to zwyczajnym okrucieństwem, skoro postanowił, że nie spełni prośby.

- Już podjąłeś decyzję, prawda? - spytała cicho, gdy usiadł.

- Tak.

Odetchnął głęboko, lecz niewiele mu to pomogło. Musiał powiedzieć jej, że się nie zgadza, i być świadkiem jej cierpienia, chociaż zawsze chciał jej go oszczędzić. Mimo to zawiódł ją cztery lata temu i teraz historia miała się powtórzyć.

- Nie mogę ci pomóc, Katrino. Stracilibyśmy na tym wszyscy troje: Tomas, ty i ja.

Przymknęła powieki, jakby te słowa sprawiły jej przeraźliwy ból. Morgan zacisnął pięści, ponieważ całym sercem pragnął jakoś go ukoić, wiedział jednak, że postępuje właściwie. Kiedyś, może już wkrótce, Katrina to zrozumie i może nawet będzie mu wdzięczna za dzisiejszą odmowę. Gdy spotka innego mężczyznę i go pokocha tak bardzo, jak dawniej kochała jego, wtedy przypomni sobie tę chwilę i odczuje ulgę. Nie będzie musiała powracać do swojej przeszłości, tylko skupi się na szczęśliwej teraźniejszości, z kochanym mężczyzną u boku i Tomaszem oraz dziećmi, które pewnie urodzi.

Myśl o Katrinie z kimś innym okazała się taka bolesna, że Morgan ledwie zdołał ją znieść.

- Nie mógłbyś jeszcze się zastanowić, Morgan? Popełniasz błąd, a ja nie mam pojęcia, jak cię o tym przekonać!

- Dlaczego jesteś taka arogancka i wmawiasz mi, że to błąd? - Wiedział, że nie powinien być wściekły tylko dlatego, że Katrina może kiedyś związać się z kimś innym.

Przecież cztery lata temu sam zmusił ją do odejścia. - Kto dał ci prawo ingerowania w moje życie? - warknął gniewnie.

- Nikt, i wcale nie chcę niczego ci narzucać - odparła, piorunując go wzrokiem.

Morgan zawsze podziwiał jej odwagę. Katrina była jedyną znaną mu osobą, której nigdy nie był w stanie skłonić do kapitulacji.

Jego gniew wyparował równie szybko, jak się pojawił.

- Przepraszam. Nie zasłużyłaś na ten wybuch.

- Nie, ale przyjmuję twoje przeprosiny - mruknęła takim tonem, jakby z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Co cię tak bawi?

- Ty. Ja. My - szepnęła niemal z czułością w głosie.

- Cieszę się, że uważasz tę sytuację za zabawną, ale... - Urwał, gdy Katrina ostentacyjnie jęknęła.

- O nie, Morgan, za dobrze znam twoją taktykę. Nie pozwolę ci teraz się nadać i wymigać od rozmowy. Ta sprawa jest zbyt ważna, żebym ci na to pozwoliła. - Nieoczekiwanie chwyciła go za rękę. - Zapomnij o nas i pomyśl tylko o Tomasie. Nie chciałbyś, wiedzieć, że po tym wszystkim, co przeszedł, wreszcie ma zapewnioną bezpieczną przyszłość?

- Oczywiście, że tak! Ale nie sądzę, że zależy to wyłącznie od mojej pomocy. I nie pozwolę ci na emocjonalny szantaż! - Wyszarpnął dłoń i odsunął się. - Przykro mi, ale to moja ostateczna decyzja. Nie zmienię zdania i kropka.

- Skoro tak... - Katrina wzruszyła ramionami - to już nie będę więcej marnować twojego cennego czasu. - Sięgnęła po czasopismo i zaczęła je kartkować.

Morgan raptownie wstał. Chyba powinien się cieszyć, ponieważ najwyraźniej pogodziła się z jego odmową, lecz był tylko niebotycznie zdumiony. Więc już po wszystkim?

Odszedł kilka kroków i przystanął niezdecydowany. Zerknął na Katrinę, lecz ona nadal czytała, a jedwabiste włosy zasłaniały jej twarz.

Cóż, może i rozwiązali zasadniczy problem, lecz powinni omówić kilka innych. Na przykład to, jak ona da sobie radę w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Z nogą w gipsie nie będzie mogła opiekować się Tomaszem. Ani pracować, więc skąd weźmie środki na utrzymanie?

Katrina gapiła się na tygodnik, ale wiedziała, że Morgan nadal stoi w pobliżu. Woląta jednak na niego nie patrzeć, zanedo urażona uwagą o emocjonalnym szantażu.

Morgan nagle się cofnął i znów przy niej usiadł, więc musiała podnieść wzrok. Dostrzegła w zielonych oczach wyraz cierpienia i serce ścisnęło się jej boleśnie. To przez nią Morgan tak bardzo się stresuje.

- Musimy porozmawiać jeszcze o innych sprawach - oświadczył beznamiętnym tonem.

- Niby o jakich? - Usilnie starała się nie zastanawiać nad tym, czy popełniła błąd, przyjeżdżając do Dalverston. Zrobiła to, co uznała za konieczne, i w tej chwili nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem. - Nie jestem pewna, czy cię rozumiem - dodała i nagle wstrzymała oddech, tknięta okropną myślą. - Próbujesz mi powiedzieć, że chcesz rozwodu?

- Nie, chociaż chyba powinniśmy omówić również i tę sprawę. Kiedyś pewnie zapagniesz znów wyjść za mąż, więc lepiej załatwić formalności już teraz, niż mieć to na głowie później.

- Nie brałam tego pod uwagę - odparła cicho, usiłując nie okazać, jaką przykrość sprawiła jej sugestia Morgana. - Na razie bardziej niepokoi mnie terażniejszość niż to, co może, lecz wcale nie musi zdarzyć się w przyszłości.

- Mnie też to martwi. Jak zamierzasz sobie radzić po wyjściu ze szpitala? Twoja noga wymaga kilku miesięcy rekonwalescencji.

- Wiem - odparła, wzruszając ramionami, choć Morgan poruszył bardzo istotną sprawę. Opieka nad ruchliwym trzyletnim brzdącem była sporym wyzwaniem nawet dla kogoś o dwóch zdrowych nogach! - Jakoś to będzie.

- Nie mogę lekceważyć twojej sytuacji, Katrino. Na litość boską, przecież nie jestem jakimś potworem, którego wcale nie obchodzi, co stanie się z tobą i tym dzieckiem!

- Nie uważam cię za potwora, Morgan. I doceniam twoją troskę. Ale od dawna jestem samodzielna, więc coś wymyślę.

Głos jej zadrżał, więc przygryzła wargi. Mimo swoich zapewnień bezustannie zamartwiała się perspektywą najbliższych miesięcy. Nie miała pojęcia, jak będzie sobie radzić z problemami dnia codziennego, na przykład z zakupami, gotowaniem i sprzątaniami.

- Uważasz, że z tą nogą natychmiast wrócisz do pracy, co? - Morgan westchnął ciężko. - Przecież nie wygrałaś miliona w toto - lotka, więc skąd weźmiesz pieniądze na utrzymanie?

- Mam trochę oszczędności... - mruknęła i na widok sceptycznej miny Morgana zrozumiała, że nie ma sensu kłamać, bo on zawsze umiał to wyczuć. Czasem czytał w jej myślach jak z otwartej książki. - Cóż, jeśli mam być szczerą, to rzeczywiście nie wiem, jak związę koniec z końcem. Miałam nadzieję, że umieszczę Tomasa w przedszkolu i znajdę sobie etat, ale teraz to nierealne. A większość pieniędzy poszła na kaucję, gdy wynajmowałam mieszkanie w Derby.

- W Derby? Dlaczego właśnie tam?

- Spędziłam tam dzieciństwo i z tym miejscem wiąże się wiele miłych wspomnień. Mama i tato wyjechali do Nowej Zelandii, żeby być bliżej mojej siostry Zoe i jej rodziny, więc nie miało znaczenia, gdzie się osiedlę. A ty? Czemu wybrałeś Dalverston? Chyba nie miałeś tu żadnych krewnych?

- Nie. Na tym polegał największy urok tej miejsciny. Nigdy nie żałowałem, że się tu przenieśliem.

- Rozumiem. - Rzeczywiście aż za dobrze rozumiała, dlaczego wyjechał z Londynu. Niewątpliwie postanowił przeciąć wszelkie więzi łączące go z przeszłością, aby raz na zawsze usunąć ją, Katrinę, ze swego życia.

Przez chwilę oboje milczeli, po czym Morgan spojrział na zegarek.

- Muszę już iść, ale chcę, abyś wiedziała, że pomogę ci finansowo. Nie musisz się martwić o najbliższą przyszłość.

- Dziękuję - szepnęła, a on zmarszczył brwi. Czyżby usłyszał w jej głosie zdesperowanie? Ucieszyła się z oferty Morgana, ale i tak stanęłaby na głowie, aby dokonać tego, w czym nie chciał jej pomóc.

- Wieczorem przywiozę Tomasa. - Morgan raptownie wstał. Miał taką minę, jakby nagle coś go rozdrażniło. - Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dzięki. Jak mały się miewa? Bardzo daje ci się we znaki?

- Wcale. Jest bardzo grzeczny, tylko wczoraj musiałem wciąż nosić go na rękach. Zdaniem Luke'a chyba wyczuł moje zdenerwowanie... ale dzisiaj był jak słoneczko.

- To dobrze. Zazwyczaj bywa przyjacielski wobec ludzi, których lubi. - Katrina usiłowała nie okazać, jak bardzo przejęła się słowami Morgana. - Co go zdenerwowało?

- Katrino! - Morgan uniósł jej twarz. - Przestań się martwić. To nie twoja wina, że wczoraj byłem sfrustrowany.

- Czyżby? - Zaśmiała się z powątpiewaniem. - Gdybym nie zjawiła się w Dalverston i nie poprosiła cię o pomoc, nie miałbyś powodów do frustracji. Ja nie leżałabym tu z nogą w gipsie, ty nie musiałbyś niańczyć Tomasa, a oboje nie zmagalibyśmy się z szalejącymi emocjami!

- Pewnie jeszcze uważasz, że pożary lasów, epidemie i głód na świecie to też twoja sprawka. - Morgan uśmiechnął się, a jego twarz nagle odmłodziła.

- Czemu nie? - Katrina zachichotała, rozbawiona jego słowami.

- Nonsens! A co do Tomasa... zrobiłaś to, co wydawało ci się słuszne.

- Cieszę się, że to rozumiesz - odparła miękko. - Naprawdę nie chciałam cię zranić, Morgan.

- Wiem. - Przelotnie ścisnął jej dłoń. - Do zobaczenia wieczorem. Odpoczywaj.

Po jego odejściu opadła na poduszki i odetchnęła głęboko. Morgan podjął decyzję, a ona powinna ją uszanować. Co prawda liczyła na jego pomoc, lecz brała pod uwagę również i to, że odmówi. Teraz musi więc skupić się na przyszłości. A

że nie będzie w niej Morgana? Cóż, przyzwyczajała się do tej myśli od czterech lat, więc jakoś się z tym pogodzi.

Oby, pomyślała z westchnieniem. Bo pewności niestety nie miała.

Po dyżurze Morgan pojechał prosto do domu i zaparkował samochód na podziemnym parkingu pod blokiem z luksusowymi apartamentami. Wynajmował jeden z nich i bardzo się z tego cieszył, ponieważ w Dalverston brakowało odpowiednich mieszkań.

Przepisy o ochronie podmiejskiego pasa zieleni nie zezwalały na zabudowę tych terenów, lecz to niewielkie, ekskluzywne osiedle zbudowano specjalnie z myślą o grupie dobrze zarabiających profesjonalistów. W okolicy powstało spore centrum biznesu, które stało się siedzibą przedstawicielstw wielkich korporacji, a zatrudniona tam kadra specjalistów chciała mieć blisko do pracy.

Powstanie centrum sprzyjało rozwojowi całego regionu, zyskał na tym również szpital. Morgan miał więc powody do zadowolenia, ponieważ pracował w dużej placówce o imponujących perspektywach.

Wyjechał z Londynu głównie dlatego, że rozstał się z Katriną. Jakie to dziwne, pomyślał, wchodząc do mieszkania, że tamto bolesne wydarzenie zaowocowało czymś pozytywnym.

- Papa! - zawołał Tomas, wbiegając do holu.

Morgan postawił teczkę, chwycił malca na ręce i podrzucił go wysoko, a dzieciak zapiszczał z uciechy. Zawsze tak się witali, po czym spędzali kilka minut na szaleńczej zabawie. Morgan nieoczekiwanie skonstatował, że te chwile bardzo go cieszą, tak samo jak Tomasa. Podejrzewał, że będzie mu ich brakowało, gdy Katrina zabierze dziecko do Derby.

Ta myśl dziwnie go rozstroiła. Nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, więc spróbował zająć umysł czymś innym.



Wziął Tomasa na barana i poszedł do kuchni, by przywitać się z panią Mackenzie, dobroduszną kobietą po sześćdziesiątce. W ciągu minionych paru dni okazała się istnym darem niebios; Morgan nie miał pojęcia, jak by sobie poradził bez jej pomocy.

- Już pójdę, doktorze - powiedziała gospodyni, zdejmując z oparcia krzesła swój żakiet. - Tomas zjadł podwieczorek, a w piekarniku jest zapiekanka dla pana.

- Prawdziwy z pani skarb. Zginałbym bez pani - z przekonaniem zapewnił Morgan.

- Cieszę się, że mogę pomóc. - Kobieta schyliła się i wyciągnęła rękę do dziecka. - Dostanę buziaka na pożegnanie?

Tomas natychmiast cmoknął ją w pomarszczony policzek.

- Buziak! - zawołał z dumą.

- Oczywiście. Mądry chłopak! - Pani Mackenzie uścisnęła malca i sięgnęła po torebkę. - Szybko się uczy.

Wkrótce będzie mówił po angielsku tak dobrze jak pan i ja. Jutro o tej samej porze, doktorze?

- Byłoby wspaniale.

Morgan odprowadził gospodynię do drzwi, a Tomas pociągnął go za rękę i zaczął szybko paplać po hiszpańsku, jakby opowiadał, co robił przez cały dzień. Morgan zrozumiał jedynie powtarzające się słowo „mama” i poszedł za chłopcem do salonu, gdzie na stoliku leżał kolorowy rysunek.

- Namalowałaś mi drugi obrazek? Zobaczmy, co to takiego. - Morgan sięgnął po kartkę, spojrzał na nią i poczuł bolesny skurcz serca. Nie potrzebował wyjaśnień Tomasa, aby się zorientować, na co patrzy.

- Papa, mama y Tomas - oznajmił chłopczyk, pokazując palcem trzy postaci. - Somos una familia! Si?

Morgan wziął głęboki oddech, ale ból nie ustępował. Przeciwnie, coraz bardziej ścisnął serce. Somos una familia - jesteśmy rodziną - ale właśnie nią nie mieli szans zostać...

Chyba żeby zmienił zdanie i zgodził się pomóc Katrinie adoptować dziecko.

Ta myśl totalnie go zaskoczyła i jednocześnie przestraszyła. Wcale nie chciał mieć wątpliwości, lecz nagle zaczął się zastanawiać, czy nie popełnia wielkiego błędu.

- Papa?

Popatrzył na Tomasa wsuwającego małą rączkę w jego dużą dłoń i serce wezbrało mu emocjami, jakich nigdy przedtem nie doświadczył. Było to połączenie czułości z przemożną chęcią chronienia tego dziecka przez resztę swoich dni. Takie uczucia stanowiły mieszankę najbardziej altruistyczną i jednocześnie krańcowo niebezpieczną. Nie dało się jej tak po prostu zignorować, ani uznać za coś bez sensu.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Morgan stwierdził, że chyba powinien zdać się na intuicję, ale taka perspektywa śmiertelnie go przerażała.

Miał wrażenie, że jak cyrkowiec zaczyna iść po linie, a w dole nie ma zabezpieczającej siatki.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Katrina odkryła, że życie pacjenta jest o wiele bardziej nudne niż praca pielęgniarki, którą kiedyś była. Pracowała w jednym z największych szpitali Londynu. Tam, z racji nawału obowiązków, dzień zawsze wydawał się za krótki, natomiast teraz czas włókł się niemiłosiernie.

W piątek zaczęła sarkać na przymusową bezczynność. Nie przywykła do takiego siedzenia w jednym miejscu od rana do wieczora!

- Co z tobą, dziewczyno? - spytała Beatrice, biorąc się pod boki. - Mleko by się skwaśiło na widok twojej miny.

- Umieram z nudów. - Katrina ostentacyjnie westchnęła. - Przecież od dawna nic nie robię.

- Pracując w tamtych slumsach, pewnie nie miałaś dla siebie nawet jednej wolnej chwili.

Beatrice parę razy pytała ją o pracę w Ameryce Południowej. Katrina wiedziała, że jej związek z Morganem nadal budzi zainteresowanie personelu i uważała na to, co mówi. Sądziła jednak, że nie musi kłaniać na temat Tomasa, i szczerze opowiedziała o swoich planach adoptowania dziecka oraz związanych z tym trudnościach natury formalnej. A co ludzie sobie pomyślą o udziale Morgana w realizacji tego zamierzenia, to już ich sprawa.

- To prawda - przyznała. - W tamtych warunkach człowiek nie wiedział, w co najpierw włożyć ręce. Uwijałam się jak w ukropie, a wieczorem dosłownie padałam na łóżko kompletnie wykończona. Jedynym luksusem, na jaki mogłam sobie pozwolić, było parę godzin snu!

- Wiem, jak to jest. - Beatrice pokiwała głową. - Mój dzieciak właśnie ząbkuje, więc już nie pamiętam, kiedy ostatnio przespałam całą noc. Oboje z Simonem chodzimy półprzytomni ze zmęczenia. On podobno zasnął wczoraj przy

biurku. Zbudził się dopiero wtedy, gdy weszła sekretarka, żeby sprawdzić, co się dzieje, bo nie odbierał telefonów!

- Takie są radości rodzicielstwa - z uśmiechem stwierdziła Katrina. - Tomas, dzięki Bogu, już ma ząbkowanie za sobą.

- Szczęściara z ciebie. Wiesz co? Skoro tak ci się nudzi, to może wyświadczysz mi przysługę?

- Chętnie. Co mam zrobić? - Katrina zerknęła na swoją zagipsowaną nogę. - Nie jestem zanadto mobilna.

- Nie szkodzi. Potrzebuję cię właśnie tutaj. - Beatrice zniżyła głos. - Mogłabyś pogadać z Sandrą Sullivan? Wszyscy usiłowaliśmy się dowiedzieć, dlaczego chce jak najszybciej stąd wyjść, ale ona milczy jak zaklęta. Coś mi się tu nie podoba.

Katrina dyskretnie spojrzała na sąsiadkę. Sandra siedziała na krześle obok łóżka, trzymała jakieś czasopismo, lecz najwyraźniej go nie czytała. Nagle raptownie drgnęła, gdy ktoś otworzył drzwi, a na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Do sali wszedł sprzątac, a Sandra trochę się odprężyła.

- Paru pacjentów już próbowało z nią rozmawiać, ale zaraz ich spławiła, więc się zniechęcili - szepnęła Katrina.

- Nikt nie lubi być ignorowany. Właśnie dlatego pomyślałam, że ty się przydasz - z szerokim uśmiechem stwierdziła Beatrice. - My, pielęgniarki, szybko stajemy się gruboskórne, więc się nie obrazisz, jeśli Sandra da ci wycisk.

- Dzięki za komplement! - Katrina parsknęła śmiechem. - Ale masz rację, może warto spróbować... - Urwała, gdy Sandra wstała i wyszła na korytarz. - Chyba straciłam okazję.

- Niekoniecznie. Pani milkliwa pewnie poszła do saloniku. Wsadzę cię na wózek i tam zawiozę.

- Czemu nie. Przyda się trochę odmiany, nawet jeśli niczego nie zdziałam.

W saloniku kilka osób oglądało telewizję, ale Sandra siedziała z dala od wszystkich, jakby nie chciała z nikim zamienić ani słowa. Beatrice wwozła Katrinę do wnętrza, zatrzymała wózek obok Sandry i zablokowała hamulec.

- Zostawiam was, moje panie - oznajmiła pogodnie. - Przedstawcie się sobie same.

Po odejściu pielęgniarki Katrina lekko odchrząknęła, lecz Sandra nawet na nią nie spojrzała.

- Cześć, jestem Katrina Grey. - Katrina nie zamierzała dać za wygraną. - Zajmuję łóżko naprzeciw pani.

- Wiem - mruknęła Sandra z wzrokiem wlepionym w okno.

Katrina dopiero teraz zauważyła, że kobieta sprawia wrażenie szalenie spiętej. Miała chyba nie więcej niż trzydzieści pięć lat, ale bardzo postarzały ją bruzdy po obu stronach zaciśniętych ust oraz malujący się na ładnej twarzy wyraz przygnębienia. Zapewne nadal nie czuła się dobrze po operacji, Katrina podejrzewała jednak, że chodzi o coś więcej. I postanowiła wyświetlić tę tajemnicę.

- Strasznie tu nudno, prawda? - zagaiła lekkim tonem. - Nie wiem, jak pani, ale mnie się wydaje, jakby każdy kolejny dzień włókł się bez końca. Może dlatego, że zazwyczaj mam co robić. Jestem pielęgniarką. A co pani robi?

- Nic.

Ta krótka odpowiedź jeszcze bardziej podsyciła ciekawość Katriny.

- Nic? - Katrina zaśmiała się dźwięcznie, a Sandra popatrzyła na nią ze zdumieniem. - Nie ma pani pracy czy zalicza się pani do tych szczęściarzy, którzy odziedziczyli majątek?

- Nie pracuję - niechętnie odparła Sandra. - Ale zajmuję się domem. M... mój mąż lubi, żeby wszystko lśniło.

- Rozumiem. - Katrina starała się nie okazać zdziwienia. Zdążyła już spostrzec, że do Sandry ani razu nikt nie przyszedł. Czyżby była taka smutna, ponieważ mąż się nie zjawiał? A może Sandra niedawno się z nim rozstała? I stąd ten ponury nastrój? Katrina dobrze pamiętała, jak podle sama się czuła po odejściu od Morgana. - Chyba nie widziałam, żeby mąż panią odwiedził - powiedziała łagodnie, zdecydowana pomóc Sandrze, gdyby kobieta cierpiała z powodu małżeńskich problemów.

- Jest za granicą, w podróży służbowej.

- Och, to niedobrze! Czy jego firma nie pozwoli mu wrócić trochę wcześniej? Przecież w tych okolicznościach powinien być z panią. - Nic dziwnego, że biedulka tak się zamartwia, pomyślała Katrina.

- On... on nie wie o wypadku - wybąkała Sandra.

- Nie? - Katrina zauważyła, że Sandra gwałtownie zacisnęła dłonie. Niewątpliwie była bliska rozpaczki. - Jeśli trudno się z nim skontaktować, to policja na pewno zdoła ustalić...

- Nie! Nie chcę, żeby go poinformowano! Nie rozumie pani? To ostatnia rzecz, której potrzebuję! - Sandra zerwała się z fotela. - Wiem, że chce pani być miłą, ale nie zna pani sytuacji. Anthony będzie wściekły, gdy się dowie! - Sandra odwróciła się na pięcie i pośpiesznie opuściła pokój.

Katrina podjechała wózkiem do drzwi i odprowadziła ją wzrokiem. Zaczęła się obawiać, że zamiast pomóc, wszystko popsuła.

- Skąd ta zasepiona mina?

Odwróciła głowę i ujrzała nadchodzącego Morgana. Widziała go dzisiaj po raz pierwszy, ponieważ poranny obchód poprowadził Luke. Teraz jej humor natychmiast się poprawił, chociaż wiedziała, że głupotą jest reagować tak emocjonalnie na widok Morgana.

- Coś mi się wydaje, że pokpiłam sprawę, ale nie wiem, jak - mruknęła, usiłując zachowywać się naturalnie, gdy zatrzymał się przy niej i oparł dłoń na poręczy wózka.

- Widziałem umykającą Sandrę Sullivan. Ty ją spłoszyłaś?

- Chyba tak. - Streściła mu przebieg króciutkiej rozmowy.

- Nie mam pojęcia, czemu uciekła, nie wiedziałem też, że jest mężatką. - Morgan popatrzył na przechodzących korytarzem. - Tutaj nie możemy o tym rozmawiać. Wróćmy do saloniku.

Wprowadził jej wózek z powrotem do sali i zgasił telewizor, bo pacjenci poszli na oddział, żeby zobaczyć się z odwiedzającymi.

Na życzenie Morgana Katrina jeszcze raz zdała relację z pogawędki.

- Nie pojmuję, co ją tak zdenerwowało. Zasugerowałam tylko, że policja mogłaby zawiadomić męża. A Sandra wpadła w popłoch. Bała się, że mąż się wścieknie, dowiedziawszy się o wypadku.

- Hm... to dziwne.

Morgan trochę się zasepił, a Katrina pośpiesznie odwróciła głowę, obawiała się bowiem, że Morgan wyczyta z jej miny, o czym pomyślała. Ileż to razy w przeszłości drażniła się z nim, strasząc go rychłymi zmarszczkami, jeśli będzie tak ściągał brwi? A ile razy całowała te bruzdy na czole?

Z trudem skupiła uwagę na słowach Morgana, ponieważ nagle zalała ją fala wspomnień.

- Sandra odmówiła podania nazwiska i numeru telefonu osoby, z którą w razie potrzeby można się skontaktować? - zapytała, będąc pewna, że się przesłyszała.

- Tak. Normalnie nie ingerowałbym w coś takiego, ale ona zaczęła się awanturować, więc musiałem z nią

porozmawiać. A od siostry oddziałowej z bloku operacyjnego dowiedziałem się, że Sandra podobno nie ma żadnej rodziny. Nie rozumiem, dlaczego skłamała.

- Ja też nie. I czemu nie chciała, żeby zawiadomić męża? Przecież chyba nie przejęła się uszkodzeniem auta?

- Niektórzy przykładają więcej wagi do dóbr materialnych niż ty, Katrino.

- Pewnie tak - przyznała. - Ale moim zdaniem to głupota. Liczą się ludzie, a nie rzeczy.

- Niestety, wielu z nich nie zgodziłoby się z tobą. Może mąż Sandry to taki osobnik, który dostaje szału na widok najmniejszej rysy na karoserii samochodu. Swojego czasu znałem parę osób tego pokroju.

- Całe szczęście, że ty taki nie jesteś! Nie zakochałabym się w tobie, gdybyś... - Urwała, przerażona tym, co właśnie palnęła.

W pokoju przez chwilę panowało niezręczne milczenie, po czym Morgan odchrząknął.

- Hm... nie zamartwiaj się problemami Sandry - mruknął. - Pogadam z nią i spróbuję dociec, o co w tym wszystkim chodzi. Aha, chciałem ci powiedzieć, że dzisiaj wieczorem nie przyjdę. Zaproszono mnie do Manchesteru, na uroczystą kolację połączoną ze zbieraniem funduszy. Mam być gościem honorowym, więc nie wypadało się wykręcić.

- W porządku - zapewniła go pośpiesznie, mając nadzieję, że nie usłyszał drżenia w jej głosie.

Nie była jednak w stanie nic poradzić na to, że zaczęła myśleć o tych wszystkich powodach, które sprawiły, że przed laty zakochała się w Morganie.

Oczywiście podobał się jej jako mężczyzna, lecz także imponował swoimi umiejętnościami zawodowymi i cechami charakteru. Podejrzewała, że od tego czasu Morgan wcale się



nie zmienił. Ciekawe, czy znów mogłaby zakochać się w nim tak szaleńczo jak kiedyś?

- Tomas za tobą tęskni, więc poprosiłem panią Mackenzie, aby go tutaj przywiozła.

- To miło z twojej strony. Cudownie, że ta pani zgodziła się pomóc.

- Prawdziwy z niej skarb. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Zgodziła się nawet nocować u mnie, na wypadek, gdybym wrócił późno.

- Fantastycznie dajesz sobie radę. - Katrina usiłowała zapomnieć o tym, co zaczęło chodzić jej po głowie. Zakochać się w Morganie? Wykluczone!

- Tylko dlatego, że Tomas to wspaniały dzieciak.

- Chyba bardzo cię polubił - stwierdziła, rozradowana słowami Morgana i ciepłem w jego głosie. - W krótkim czasie połączyła was silna więź.

- Tomas nie ma problemów w kontaktach z dorosłymi - beznamiętnym tonem odparł Morgan. - Tak samo dobrze idzie mu z panią Mackenzie.

Katrina spuściła oczy, nie chciała bowiem, aby dostrzegł w nich wyraz rozczarowania. Morgan wyraźnie sugerował, że jego dobre stosunki z Tomaszem niczego nie zmieniają. Ona zaś chyba w głębi duszy miała nadzieję, że zmieni zdanie co do adopcji, gdy lepiej pozna dziecko. Czy rzeczywiście na to liczyła?

Odetchnęła z ulgą na widok wchodzącej do sali Beatrice, nie musiała bowiem odpowiadać sobie na to pytanie. Ten dzień obfitował w rozterki i miała ich na dziś dosyć. Zobaczyła, że pielęgniarka się waha, więc pośpiesznie skierowała wózek w stronę drzwi.

- Przyszłaś po mnie, Beatrice?

- Mogę wpaść później... - Beatrice pytająco zerknęła na Morgana.

- Nie ma potrzeby - zapewniła. - Doktor Grey właśnie wychodził.

Nie popatrzyła na niego, gdy Beatrice wywoziła ją z sali, ale czuła na sobie jego spojrzenie. Mimo to nie odwróciła głowy, zdecydowana wziąć przykład z Morgana i obiektywnie ocenić sytuację. Skoro on stanowczo odmówił pomocy, ona musi przeanalizować wszystko od nowa i opracować skuteczny plan działania w pojedynkę.

Podziękowała Beatrice za przesadzenie na łóżko i zaciągnięcie zasłonek. Na oddziale wciąż było sporo odwiedzających, więc wołała trochę się odseparować. Włączyła radio i spróbowała słuchać najnowszych przebojów, lecz myślami bezustannie powracała do Morgana.

Od tak dawna był częścią jej życia, że nie miała pojęcia, jak zdoła rozstać się z tym człowiekiem na zawsze. Owszem, już zaakceptowała fakt, że ich związek się skończył, ale nadal pragnęła, aby w jej przyszłości było miejsce dla Morgana. A to okazało się nierealne.

Dziwne, ale on chyba dużo łatwiej pogodził się z ich definitywnym rozstaniem. Ciekawe, dlaczego... Jakim cudem zdołał tak skutecznie, całkowicie i bezboleśnie zamknąć za sobą rozdział ich małżeństwa? Czyżby nigdy nie kochał jej tak bardzo, jak ona jego?

Nastawiła radio głośniej, aby muzyką zagłuszyć te rozstrajające myśli. Wołała nie szukać odpowiedzi na to pytanie, ponieważ chyba nie przeżyłaby odpowiedzi przeczącej.

Kolacja trwała niemiłosiernie długo i Morgan wrócił do Dalverston dopiero tuż przed północą. Miał nadzieję, że nie okazał zniecierpliwienia podczas niekończących się przemówień. Wszyscy goście bawili się świetnie, natomiast on siedział jak na szpilkach. Dlaczego, na litość boską, nie mógł doczekać się chwili, kiedy będzie wypadało się pożegnać?

Ponieważ tęsknił za Katriną.

Ta myśl pojawiła się tak szybko, że totalnie go zaskoczyła. I mimo najszczerzych chęci nie był w stanie jej zbagatelizować. Naprawdę tęsknił za Katriną i żałował, że nie spędził tego wieczoru właśnie z nią i Tomaszem. Wcale nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy, ale wyglądała ona tak, że Katriną znów stawała się ważną częścią jego życia.

Oszołomiony tym niepożądanym wnioskiem, nawet nie zauważył, że zamiast jechać w stronę domu, skręcił na szpitalny parking. Zatrzymał auto przed głównym budynkiem i zgasił silnik. Wiedział, że tej nocy nie zdoła zmrużyć oka, głowiąc się nad tym, co powinien zrobić. Postanowił więc zająć umysł czymś innym, a najbardziej skutecznie mógł tego dokonać, biorąc się do pracy.

Zamknął samochód, podszedł do bocznego wejścia i wystukał kod dostępu. Idąc do windy, minął kilka znajomych osób, które pozdrowiły go skinieniem głowy. Nikt nie skomentował faktu, że doktor Grey przychodzi do szpitala o północy, odziany w czarny smoking.

Oto zalety traktowania innych z dystansem, pomyślał Morgan. Ludzie powstrzymują się od jakiegokolwiek komentarza, by nie usłyszeć cierpkiej riposty. Ale z powodu tego dystansu zawsze czuł się outsiderem, człowiekiem stojącym na uboczu, z wyjątkiem tego czasu, który przed laty spędzał z Katriną. Nigdy nie miał większego poczucia, że jest kochany i pożądany, niż właśnie wtedy.

To wspomnienie było takie bolesne, że świadomie przestawił umysł na czekające go zadanie. Zamierzał iść prosto do swego gabinetu i dokończyć sprawozdanie, które zaczął dzisiaj pisać. Wsiadł do windy i już miał wybrać piąte piętro, lecz w porę przypomniał sobie, że będzie potrzebował danych z chirurgii. Po rozmowie z Katriną zapomniał je wziąć od siostry Carter.

Na chirurgii panowała cisza i spokój. O tej porze wszyscy pacjenci spali, a dyżurujący personel zajmował się papierkową robotą. Mijając kuchnię, Morgan usłyszał szmer rozmowy. Rozpoznał głos pielęgniarki Evelyn Leonard i zawrócił, aby zamienić z nią parę słów. Dopiero otwierając drzwi, usłyszał kogoś jeszcze. Katrinę.

- Na bezsenność nie ma jak filiżanka ziołowej herbatki - powiedziała i urwała na jego widok.

Gwałtownie się zarumieniła, a Morgan poczuł przyływ emocji, uświadomiwszy sobie, że oboje działają na siebie nawzajem tak samo sobie jak dawniej. Ucieszył się z tego, choć wiedział, że raczej ma powody do zmartwienia.

- Doktor Grey! Co pan tu robi? - Evelyn Carter obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Idę po dane, które obiecała przygotować dla mnie siostra Carter - wyjaśnił, usiłując ominąć wzrokiem Katrinę.

Ale i tak zdążył zauważyć, że ma na sobie mięciutki frotowy szlafrok, a jej włosy są związane w koński ogon odsłaniający małe uszy i delikatny kark. Wyglądała prześlicznie i bardzo seksownie.

Morgan skarcił się w duchu za te nie najmądrzejsze myśli i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Wiem, że już późno, siostrze, ale mogłaby pani znaleźć teczkę z tymi papierami? Bez nich nie dokończę sprawozdania.

- Już idę. - Evelyn ruszyła do drzwi i zaraz przystanąła. - Będę w dyżurce, doktorze. Proszę przyjść, kiedy pan zechce - dodała z uśmiechem wyrażającym zrozumienie.

Morgan westchnął, gdy kobieta dyskretnie zamknęła za sobą drzwi. Najwyraźniej uznała teczkę z danymi za pretekst do wizyty o północy!

Zerknął na Katrinę, lecz ona uniosła do ust filiżankę i nie sposób było stwierdzić, czy podziela podejrzenia Evelyn. Morgan wołał jednak od razu rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Zanim zaczniesz czegoś się dopatrywać w moim przyjsciu, chcę cię zapewnić, że nie ma nic wspólnego z tobą!  
- oznajmił prosto z mostu. - Rzeczywiście potrzebuję tych danych.

- Na pewno. - Katrina odstawiała filiżankę i spiorunowała go wzrokiem. - Spokojna głowa, Morgan, nie jestem taka głupia, żeby uwierzyć w twoją chęć oglądania mojej osoby!

- O co ci chodzi? - parsknął, choć doskonale wiedział, że nie powinien pytać.

- O nic!

Katrina pięścią walnęła w blat stolika, a Morgan oniemiał z wrażenia. Co ją tak zdenerwowało? Chyba nie to, że tutaj przyszedł?

- W czym problem, Katrino? Nie próbuj kłamać, bo za dobrze cię znam. Wyczuwam, kiedy coś cię gryzie.

- Doprawdy? Taki jesteś mądry?

Mimo drwiącego tonu Morgan usłyszał w nim nutę udreki, a w orzechowych oczach dostrzegł cień smutku.

- Nie zawsze - odparł łagodniej, niż zamierzał, ale w żaden sposób nie mógł zdobyć się na obojętność. Katrina była czymś rozstrojona, a on chciał jej pomóc, i kropka.

Kucnął przed nią, by musiała na niego spojrzeć, i z bólem serca stwierdził, że drżą jej wargi.

- Wiem, że coś jest nie tak, więc powiedz mi, co cię zdenerwowało.

Patrzył w jej oczy, z całej duszy pragnąc, aby Katrina mu zaufała. Czy to w ogóle możliwe? Po tym wszystkim, co między nimi zaszło? A jeśli nie? Chyba by tego nie zniósł...

- Czy ty kiedykolwiek naprawdę mnie kochałeś, Morgan?

Dlaczego, na litość boską, spytała o coś takiego? Przecież z pewnością zna odpowiedź? Chyba... chyba że usiłuje w ten sposób coś mu powiedzieć?

- Do czego zmierzasz, Katrino? - Raptownie wstał, odszedł kilka kroków i zatrzymał się, odwrócony do niej plecami. Czuł w piersi taki straszny ból, że najchętniej zgiąłby się w pół. Tylko dzięki wyćwiczonej latami samodyscyplinie nie okazał, jak cierpi.

- Zadałam ci proste pytanie, ale chyba już znam odpowiedź - odparowała Katrina. - Dajmy sobie z tym spokój, Morgan. Nie ma o czym mówić.

- Przeciwnie!

Gwałtownie się odwrócił, aby na nią spojrzeć. Czy miała pojęcie, jak on się teraz czuje? Czy zdawała sobie sprawę z tego, że paroma słowami może zniszczyć to wszystko, co dla niego było najcenniejsze? Musiał jednak dowiedzieć się, co próbowała wyrazić, nawet gdyby miał z tego powodu cierpieć.

- Spytałaś, czy cię kochałem, lecz może tym pytaniem chciałaś dać do zrozumienia, że ty nigdy mnie nie kochałaś. - Zobaczył, że zbladła, ale nie ruszył się z miejsca, nie miał bowiem na zbyciu cienia współczucia, ponieważ sam go potrzebował. - Właśnie do tego dążyłaś, Katrino? Chciałaś mnie sprowokować, żeby wreszcie wygarnąć mi prawdę? W porządku, dokończmy ten spektakl - . Kochałaś mnie, czy też w końcu doszłaś do wniosku, że błędnie oceniłaś swe uczucia?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serce Katriny łomotało tak szaleńczo, że zrobiło się jej słabo. Morgan patrzył na nią groźnie, ale nie to ją przeraziło. Wcale nie zamierzała zadać mu tego pytania, ani tym bardziej nie spodziewałaby się, że on natychmiast odwróci role! I teraz nie wiedziała, co powiedzieć - przyznać, że była szaleńczo w nim zakochana? A jeśli w ten sposób tylko pogorszy aktualną sytuację?

- Krętowno nie jest w twoim stylu, Katrino. Zawsze mówiłaś prawdę w oczy, z wyjątkiem przypadków, gdy mogłabyś kogoś zranić. Ale o mnie nie musisz się obawiać. Nie rozsypię się w proch; tę fazę mam już za sobą.

- W to nie wątpię i dlatego nie pojmuję, czemu tak interesują cię moje uczucia sprzed czterech lat.

- Sama zaczęłaś, nie pamiętasz? Pierwsza spytałaś, czy kiedykolwiek naprawdę cię kochałem.

Patrzył na nią takim zimnym wzrokiem, że bezwiednie zadrżała.

- Głupiątko ze mnie, prawda? - Zaśmiała się z udawaną beztroską. Ani myślała okazać, jak wielką sprawił jej przykrość tym swoim wyzywającym tonem i oczywistą obojętnością. - Za parę tygodni na dobre zniknę z twojego życia, więc nie ma sensu roztrząsać spraw z zamierzchłej przeszłości. Uznaj, że plotę bzdury, bo jestem znudzona i niewyspana. Wybacz!

- Przeprosiny zostały przyjęte. Nie poruszajmy więcej tego tematu. - Morgan odsunął rękaw i spojrział na zegarek. - Jest później, niż myślałem. Lepiej wrócę do domu i skończę raport kiedy indziej.

Uśmiechnęła się słodko, aby nie okazać cierpienia. Morgan nie wyjaśnił jej wątpliwości, ale czy musiał to zrobić? I tak powiedział wystarczająco dużo.

Poczuła w sercu tak dojmujący ból, że odruchowo przycisnęła dłoń do piersi, a Morgan zmarszczył brwi.

- Co ci jest? - spytał, szybko podchodząc bliżej.

- Nic - zapewniła, gdy otworzył usta, aby coś powiedzieć.

- Daj spokój, Morgan, nic mi nie jest, a raczej nie będzie, kiedy wreszcie wyjdę z tego cholernego szpitala!

- Minie kilka tygodni, zanim to nastąpi. Ale nawet i wtedy sama wiele nie zdołałaś.

- Wiem. - Woliała na niego nie patrzeć, aby nie widzieć jego zapewne obojętnej miny. Morgan już wszedł w rolę lekarza, i chociaż było to lepsze niż emocjonalna dyskusja, Katrina cierpiała, gdy traktował ją z takim dystansem.

- Czyżby? Wątpię, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie trudne będzie twoje życie przez kilka miesięcy. Nie dałabyś sobie rady nawet sama, a co dopiero z Tomaszem. Zastanawiałaś się nad tym, co zrobisz?

- Jeszcze nie, ale - jak sam wspomniałeś - mam jeszcze sporo czasu. Na pewno coś wymyślę. - Uśmiechnęła się bez troski, aby nie okazać, jak bardzo dręczy ją wizja najbliższej przyszłości. - Nie martw się, Morgan. Nie spodziewam się, że przyjdiesz mi na ratunek, jeśli więc ten problem spędzał ci sen z powiek, to możesz się odprężyć. Twoje zadanie kończy się w chwili, gdy stąd wyjdę.

- W porządku, skoro dobrze rozumiesz sytuację. Do zobaczenia jutro, gdy przywiozę Tomasza. Dobranoc.

- Morgan, ja...

Urwała, ponieważ już wyszedł. Sięgnęła po filiżankę i zaraz odstawiła ją na blat, bo nie mogła utrzymać jej w drżących rękach. Dlaczego nagadała Morganowi tyle bzdur? Gdyby było to realne, cofnęłaby wiele z tego, co właśnie powiedziała...



Westchnęła ciężko. „Gdyby”. Takie króciutkie słowo i jednocześnie takie wszechmocne. Prześladowało ją przez ostatnie cztery lata.

Gdyby nie mówiła Morganowi, jak bardzo chce mieć dzieci, to on nie przejąłby się swoją bezpłodnością.

Gdyby zdołała go przekonać, że bez dzieci też będą szczęśliwi, to może ich małżeństwo trwałoby nadal.

Gdyby się nie rozstali, to nie poznałaby Rosy i Tomasa.

„Gdyby” mogło poprzedzać zarówno rzeczy dobre, jak i złe. Mogło oznaczać również nowy początek, nie tylko koniec. Powinna o tym pamiętać.

W sobotnie przedpołudnie na oddziale panował spory ruch. Wypisywano do domu wielu pacjentów, oni zaś pakowali swoje drobiazgi, aby jak najszybciej opuścić szpital. Katrina trochę im zazdrościła, lecz pocieszała się faktem, że rozpoczyna fizykoterapię.

- Jestem Maggie Carr - przedstawiła się pielęgniarce, która zabrała Katrinę na ćwiczenia. - Operował panią mój narzeczony, Luke Fabrizzi.

- Och, jak miło mi panią poznać! Luke tyle o pani opowiadał. Może mówmy sobie po imieniu?

- Z przyjemnością.

- Myślałam, że pracujesz na dziecięcym.

- Pracuję, ale w weekend biorę dodatkowy dyżur na chirurgii, bo brakuje personelu. - Maggie energicznie wepchnęła wózek do windy i wcisnęła guzik parteru. - Kiedyś miałam tu etat, ale zostałam przeniesiona, bo władze uznały, że Luke będzie za dużo mnie rozpraszał. Może i mieli rację!

- Ale nie przyznałabyś się do tego! - Katrina parsknęła śmiechem, gdy Maggie zabawnie przewróciła oczami. - Widzę, że nic się nie zmieniło. Gdy odkryto, że Morgan i ja jesteśmy parą, też było sporo zamieszania.

- Pracowaliście razem? - z zaciekawieniem spytała Maggie, wypychając wózek z windy. - Ciągnęłam za język Luke'a, ale faceci są bezużyteczni. Nigdy nie znają najważniejszych szczegółów!

- Fakt. Morgan też nie miał pojęcia o ploteczkach. Aż tu nagle stał się ich bohaterem.

- Mówisz o tym gadaniu po przyjęciu ciebie na oddział? Maggie nie udawała, że o niczym nie wie, i Katrina była jej za to wdzięczna. Od razu polubiła Maggie Carr i czuła, że można jej ufać.

- Tak. Przedtem chyba nikt nie miał pojęcia, że Morgan jest żonaty.

- Rzeczywiście. Ludzie się zdumiali, bo nigdy o tobie nie wspominał. Tyle tylko, że akurat to nie powinno dziwić; Morgan nie rozmawia na tematy osobiste. - Maggie odwróciła się i biodrem pchnęła drzwi do sali ćwiczeń.

Wciągnęła wózek do wnętrza i spojrzała na Katrinę. - Jeśli uznasz, że wtykam nos w nie swoje sprawy, to mi powiedz, a gdybyś chciała pogadać, chętnie nadstawię ucha. Nie wiem, co jest grane, i nie zamierzam być wścibska, lecz jeśli mogłabym jakoś ci pomóc...

- Dziękuję, Maggie, ale wszystko już zostało ustalone, choć nie tak, jak tego pragnęłam. Prosiłam Morgana, aby pomógł mi adoptować Tomasa, lecz odmówił. Koniec hysterii.

- Ach tak... To musiało być przykre. Jesteś pewna, że nie zdołasz skłonić Morgana do zmiany zdania? Podobno przepada za tym malcem. Wciąż mówi tylko o nim.

- Serio? Miło to słyszeć, ale kiedy Morgan raz się zdecyduje, to bywa...

- Uparty jak osioł - dokończyła Maggie. - Luke jest dokładnie taki sam! Tak czy owak, pamiętaj - zawsze chętnie cię wesprę. Natomiast teraz pora na tortury... łamanie kołem i

wrzący olej. Wszystko w imię ratowania twojego zdrowia i żywotności!

Katrina zaśmiała się wesoło, trochę podniesiona na duchu postawą Maggie. Po nocnej konfrontacji z Morganem była strasznie przygnębiona. Wołałaby o niej zapomnieć, ale sugestia Maggie dała jej do myślenia. Może faktycznie warto spróbować jeszcze raz? Gdyby zdołała przekonać Morgana, to kto wie, czy...

Katrina jęknęła.

Nigdy więcej żadnych „gdyby”!

Tomas był rannym ptaszkiem, więc Morgan zerwał się już przed szóstą i wkrótce zabrał chłopca do parku. Wracając w nocy do domu, zauważył nieopodal spory plac zabaw i postanowił przywieźć tu energicznego malca, aby wydatkował trochę rozpierającej go energii.

Powoli szedł za Tomaszem, gdy dzieciak wypróbowywał kolejne atrakcje - zjeżdżalnię, dwa rodzaje huśtawek i kolorowe drabinki. Podziwiając witalność chłopczyka, doszedł do wniosku, że sam czuje się wyprany z wszelkich sił. Do wczoraj nosił w sercu przynajmniej odrobinę szczęścia, którego źródłem były wspomnienia. W trudnych chwilach zawsze myślał o miłości Katriny. Ale tej nocy pozbawiła go złudzeń. Poniekąd przyznała, że nigdy go nie kochała. Przez te wszystkie lata żył więc iluzją i teraz, gdy poznał prawdę, miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg.

- Papa! Patrz!

Spojrzał na dziecko i błyskawicznie powrócił do rzeczywistości. Tomas trzymał się jedną ręką metalowej poprzeczki i wisiał dwa metry nad ziemią. Zanim Morgan zdążył podbiec, chłopiec z piskliwym okrzykiem spadł na gumową matę.

- Nic ci się nie stało? Gdzie boli?

Morgan klęknął przy dziecku i przesunął rękami po jego czaszce. Wpadł w popłoch, czując pod palcami wypukłość na potylicy. Przez jedną sekundę miał w głowie totalną pustkę, cała wiedza medyczna uleciała nie wiadomo gdzie.

Co powinien zrobić? Zabrać Tomasa do domu? Zostawić go tutaj i wezwać pogotowie? Odzyskał jasność myślenia dopiero wtedy, gdy maluch głośno się rozplakał.

- Nie ruszaj się. - Morgan szybko obmacał kończyny chłopca, szukając oznak ewentualnego złamania. Nie znalazł śladów żadnych urazów, ale głowa wymagała badania w warunkach szpitalnych. Oby skończyło się na siniaku i obrzmieniu. Katrina nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby malcowi coś się stało.

Co tam Katrina! On sam nigdy by sobie nie wybaczył!

Niosąc Tomasa do samochodu, nieoczekiwanie skonstatował, że szalenie przywiązał się do tego dziecka. Znając siebie, powinien gorączkowo się zastanawiać, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. A właściwie - jak od niej uciec. Czyż nie tak zawsze postępował, gdy pojawiały się problemy natury emocjonalnej? Nawet swoje małżeństwo zakończył dlatego, że nie umiał poradzić sobie z cierpieniem Katriny, której nie mógł dać upragnionego potomstwa. Rozstał się z nią, bo tak było najłatwiej.

I nagle doznał olśnienia. W sferze uczuć jest inwalidą, ponieważ na takiego go wychowano.

Zszokowało go to odkrycie i jednocześnie ucieszyło, lecz teraz musiał coś z tym fantem zrobić. Czy wykrzesze z siebie tyle odwagi, aby zmierzyć się z demonami swej przeszłości i je pokonać?

Wsadził Tomasa do dziecięcego fotelika, przypiął pasami i usiadł za kierownicą. Tomas uśmiechnął się do niego promiennie, a Morgan poczuł zalewającą jego serce falę ciepła. Gdyby zdołał zebrać się na odwagę i uczynić ten drugi,

trudny krok, to może nadałby swojemu życiu całkiem inny sens...

- Nic mu nie jest - stwierdził pediatra. - Oczywiście trzeba go poobserwować przez całą dobę, ale nie ma powodów do zmartwień. Tomogram nie wykazał żadnych zmian.

Morgan odetchnął. Podziękował młodszemu koledze i wrócił do Tomasa. Podczas wykonywania badań malec zachowywał się nadzwyczaj grzecznie - wcale się nie bał, tylko był najwyraźniej zafascynowany nowoczesną aparaturą. Zdejmując go teraz z łóżka i biorąc za rękę, Morgan poczuł przyływ dumy. Mało które dziecko w tym wieku okazałoby się takie dzielne.

- Byłeś bardzo odważny, Tomas. Muy... - Usiłował przypomnieć sobie zapomniany wyraz, patrząc w ufne oczy chłopczyka.

- Valervso - podpowiedział znajomy głos.

Morgan odwrócił się i natychmiast ogarnęło go poczucie winy, gdy ujrzał Katrinę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest z lekka rozjuszona. Nie mógł mieć jej tego za złe.

- Muy valeroso - powtórzyła. - Chyba o to słowo ci chodziło, Morgan? - Posłała mu lodowaty uśmiezek. - A teraz może zechcesz mi powiedzieć, co Tomas robi w izbie przyjęć?

- Eee... - Ton Katriny sprawił, że Morgan gwałtownie się zaczerwienił. Zaczaj oględnie tłumaczyć, lecz Tomas zaraz mu przerwał i szybko przedstawił swoją wersję.

Katrina słuchała tej relacji z coraz bardziej wrogą miną. Opiekuńczo objęła malca i spiorunowała Morgana wzrokiem.

- Naprawdę tak trudno upilnować trzylatka? - syknęła gniewnie. - Wydawało mi się, że masz więcej zdrowego rozsądku, Morgan. W ogóle nie powinieneś być pozwolić Tomasowi wchodzić na takie drabinki!

Morgan odetchnął głęboko. Wiedział, że należy okazać pokorę. Po pierwsze dlatego, że cały personel izby przyjęć zapewne strzyże uszami, a po drugie - bo Katrina nie wścieka się bez powodu.

- Masz rację - przyznał. - To już się nie powtórzy.

Ujął poręcze jej wózka, zręcznie wypchnął go z poczekalni i zatrzymał dopiero w spokojnym zakątku korytarza, gdzie stały automaty z napojami. Kupił Tomasowi sok owocowy, posadził dziecko na fotelu i wręczył książeczkę z obrazkami.

- To był wypadek, Katrino - powiedział, wróciwszy do niej. - Wiem, że zawiodłem, i naprawdę strasznie mi przykro. Na szczęście tomogram jest prawidłowy i skończyło się na sporym guzie. Poza tym Tomasowi nic nie dolega.

- To dobrze - wycedziła, lecz głos nieco jej zadrżał.

- Przepraszam. - Morgan kucnął i ujął jej dłonie. - Pewnie się przeraziłaś. A w ogóle skąd wiedziałaś, że coś się stało?

- Kiedy wracałam z fizykoterapii, spotkałam pielęgniarkę z izby przyjęć. Powiedziała mi, że przywiozłeś Tomasa, więc Maggie od razu mnie tam zabrała. -

- Maggie? - Morgan przez chwilę zastanawiał się, o kogo chodzi. - Ach, narzeczona Luke'a. Wspominał, że wzięła zastępstwo na chirurgii. Gdzie się podziała?

- Musiała wrócić na oddział. Nie wiedziałyśmy, jak długo będziecie na radiologii.

- Na szczęście nie było kolejki, a Tomas ma się dobrze, co oczywiście wcale mnie nie rozgrzesza. Powinienem lepiej go pilnować.

- Cóż, to na pewno nie była twoja wina. - Katrina odwzajemniła lekki uścisk palców Morgana. - Tomas to prawdziwe półdiabło. Chyba nie ma poczucia strachu!

- Dzięki za ostrzeżenie! - odparł, świadomy szaleńczego tempa, w jakim nagle zaczęło bić jego serce. Ale uśmiech

Katrinie sprawiało, że wszystko wydawało się osiągalne. W tej chwili Morgan był skłonny uwierzyć, że ma trzy metry wzrostu i mógłby przenosić góry.

Więc czemu nie weźmiesz się za to od razu? - zasugerował mu cichy głosik. Może byś wykonał ten drugi krok na drodze do odkupienia? Zbierz się na odwagę i wreszcie opowiedz Katrinie o przeszłości, która położyła się cieniem na twoim życiu.

- Morgan, coś nie tak? Źle się czujesz?

Westchnął, słysząc nutę zatroskania w jej głosie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego twarz ujawniła zmagania w głębi duszy. Najchętniej wyznałby Katrinie całą prawdę, ale... nie teraz i nie tutaj. Czyżby znów szukał wygodnych wymówek? Tak samo, jak robił to mnóstwo razy w ciągu minionych lat?

- Nie, skąd. - Wyparł się wątpliwości, ponieważ niełatwo było przyznać, że straszny z niego tchórz.

- Nie? To dlaczego masz taką minę, jakbyś dźwigał na barkach cały ziemski glob?

- Myślałem tylko o tym, co się stało - odparł wykrętnie i zerknął na Tomasa, który z wyraźną uciechą przesuwiał na podłodze kartonik po soku. - Nie wygląda na to, żeby coś mu dolegało, prawda?

- Raczej nie. Jak myślisz... to samochód czy łódka?

- Nie mam pojęcia. W naszym wieku już się nie pamięta, co to znaczy bawić się.

- Ty nie pamiętasz. Świat widziany oczami dziecka nie jest aż taki skomplikowany, jak postrzegają go dorośli.

Wyobraź sobie, że to my konstruujemy auto lub jacht. Tak bardzo pochłonęłyby nas szczegóły, że zajęcie wcale by nas nie bawiło. Ten karton nie przypomina żadnego pojazdu... nie ma kół ani żagla...

- Ani zderzaków czy klaksonu - ze śmiechem dodał Morgan. - Oto radości życia w prostym świecie. Dzieci to szczęściarze, prawda?

- Niestety nie wszystkie.

- Tomas powinien należeć do tych szczęśliwych. Chciałbym mu dać wszystko, czego potrzebuje, żeby mieć wspaniałe dzieciństwo. Nie mówię o rzeczach materialnych, bo one nie liczą się tak bardzo jak świadomość, że jest kochany, że ma kogoś, kto w razie potrzeby zawsze mu pomoże.

- Właśnie dlatego prosiłam cię o pomoc w adoptowaniu Tomasa. - Katrina patrzyła mu prosto w oczy. - Gdyby kiedykolwiek coś mi się stało, zawsze mógłby liczyć na ciebie. Jesteś najbardziej godną zaufania osobą, jaką znam.

Ze wzruszenia zaczęło dławić go w gardle, więc tylko ścisnął jej dłonie. Miał nadzieję, że ona zrozumie to wszystko, czego w tej chwili nie był w stanie wyrazić werbalnie. Katrina była gotowa mu zaufać, powierzyć coś najcenniejszego. Nie umiałby opisać, jak to na niego podziałało.

- Nie zadreńczaj się. - Nieoczekiwanie musnęła chłodnymi palcami jego policzek. - Nie zamierzałam sprawiać ci przykrości. Wbrew pozorom dobrze cię rozumiem.

- Naprawdę? - spytał zdławionym głosem.

- Tak. Nie chcesz się angażować, a ja nie usiłuję wzbudzić w tobie poczucia winy...

Nie dokończyła, ponieważ jej nie pozwolił, aby nie dopuścić do kolejnego nieporozumienia. Wczoraj popełnił błąd, nie mówiąc jej, jak bardzo kiedyś ją kochał. Może dla niej nie miałyby to znaczenia, ale on wolałby zdobyć się na szczerłość, a nie zachować się jak tchórz!

- Nie gryzę się swoją decyzją - oświadczył i zaraz skonstatował, że nieco minął się z prawdą. - Wzruszyłem się, ponieważ powiedziałaś, że powierzyłabyś mi Tomasa. To



wiele dla mnie znaczy, Katrino, i chciałem, żebyś o tym wiedziała. - Wziął głęboki oddech. - Pragnę też odpowiedzieć ci na pytanie, które wczoraj mi zadałaś.

- Nie trzeba - zapewniła pośpiesznie, bezskutecznie usiłując oswobodzić dłoń.

- Przeciwnie. Spytałaś, czy kiedykolwiek naprawdę cię kochałem. Cóż... tak. Kochałem cię całym sercem. Co do tego nie powinno być żadnych wątpliwości.

- Och, Morgan... - Jej oczy wypełniły się łzami. - Jaka ze mnie idiotka! Myślałam, że chciałeś mi oświadczyć...

- Nie. Ale nie frustruj się tylko dlatego, że ty mnie nie kochałaś.

- Chwileczkę, wcale tego nie powiedziałam!

- Sądziłem, że...

- Źle sądziłeś! Byłam w tobie szaleńczo zakochana, Morgan, od pierwszego wejrzenia.

Jej słowa wprawiły go w euforię. Katrina go kochała! A więc się nie mylił! Nadal może żyć cudownymi wspomnieniami o ich wspólnej przeszłości!

- Dziękuję - szepnął. - Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to uszczęśliwia.

Serce śpiewało mu z radości. Katrina go kochała i nic nie mogło umniejszyć tego prostego, lecz jakże wspaniałego faktu. Przysunął się, aby ją pocałować w policzek, a ona akurat podniosła głowę i ich usta się spotkały. Zetknięcie może było przypadkowe, lecz Morgan zareagował tak, jakby planował ten pocałunek od długich czterech lat.

Katrina jęknęła cichutko, gdy delikatnie wessał jej dolną wargę, więc czubkiem języka musnął od wewnątrz górną i usłyszał ciche westchnienie. Podekscytowany tym, wziął Katrinę w ramiona, ponieważ nie mógł się pohamować. Poczul, że jej sutki twardnieją, i natychmiast ogarnęło go pożądanie. Pragnął ująć w dłonie jej nabrzmiałe piersi i

pieścić je tak, jak tyle razy robił to w przeszłości. Chyba nawet uczyniłby to w tej chwili, gdyby przez głowę nie przemknęła mu racjonalna myśl, że szpital to nie miejsce na zmysłowe rozkosze. Na razie musi wystarczyć słodki pocałunek, a na resztę przyjdzie czas kiedy indziej...

Ta myśl sprowadziła Morgana na ziemię. Nie będzie innej okazji. To wykluczone. Ich małżeństwo skończyło się dawno temu. On i Katrina już nigdy nie zostaną kochankami.

Odsunął się i z bólem serca spojrzął na zarumienioną z podniecenia twarz Katriny. Ona zaś otworzyła oczy i popatrzyła na niego tak ufnie... Za nic w świecie nie chciał jej zranić, ale obawiał się, że to nieuniknione.

- I co teraz, Morgan?

No właśnie, co teraz?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie należy przeceniać tego, co się stało, Katrino. Usłyszała w jego głosie zgrzytliwą nutę i poczuła, że jej serce zabiło dużo szybciej. Nagle bardzo się zdenerwowała, lecz usilnie starała się tego nie okazać, choć pocałunek totalnie ją zaskoczył.

Nigdy by się nie spodziewała, że Morgan nagle przestanie nad sobą panować, a ona okaże się taka podatna na jego zmysłowość. Nie ulegało wątpliwości, że to, co właśnie się stało, będzie mieć poważne następstwa.

- Tak sądzisz? - spytała z udawanym spokojem, choć jej serce nadal szalało.

- Oczywiście! - Morgan przeczesał palcami włosy, najwyraźniej zniecierpliwiony. - Takie rzeczy się zdarzają bez przerwy, Katrino.

- Może tobie, ale mnie nie. - Ani myślała kłamać tylko dlatego, że tak byłoby łatwiej. - Przed chwilą pragnąłeś mnie tak samo bardzo, jak ja ciebie. Może ty poczułbyś pożądanie, obejmując każdą inną kobietę, ale ja nie całuję mężczyzn na prawo i lewo!

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że masz rację? Że naprawdę cię pragnąłem? Że z inną kobietą wcale nie byłoby tak samo? Dobrze, niech ci będzie - trzy razy tak. Ale to ani na jotę nie zmienia naszej sytuacji.

- Czyli fakt, że z przyjemnością się całowaliśmy, nie wystarczy do odnowienia naszego związku? - Zaśmiała się niewesoło. Czy rzeczywiście była taka głupia, marząc o powrocie do Morgana? Może i tak, ale zamknięta w jego ramionach miała przemożne wrażenie, że wreszcie jest tam, gdzie być powinna.

- To nie wchodzi w rachubę, Katrino. Nic się nie zmieniło.

- A kto powiedział, że jeszcze cię chcę? - syknęła, rozgniewana jego arogancją. - Nie pochlebiaj sobie, Morgan. Kto raz się sparzy, i na zimne dmucha. Znasz to powiedzenie, Morgan?

- Znam i też wyciągam z niego wnioski. Przynajmniej oboje wiemy, na czym stoimy.

Mówił chłodnym tonem, jego twarz była całkiem bez wyrazu, lecz Katrina i tak wyczuła, że głęboko go zraniła. Ale cóż mogłaby mu powiedzieć? Że jest jej przykro? Czy to cokolwiek by zmieniło?

- Lepiej wróć na oddział, zanim wyślą kogoś na poszukiwania - mruknęła, a Morgan zawołał Tomasa i ujął uchwyty na oparciu wózka. - Ktoś gotów pomyśleć, że skorzystałam z okazji i uciekłam.

- Mówisz tak, jakbyś była za kratkami, a nie w szpitalu. - Morgan zręcznie dopchał wózek do windy. - Co my takiego robimy, że wszyscy marzą tylko o opuszczeniu tego miejsca?

- Nie jestem aż taka napalona jak Sandra Sullivan. - Katrina zaśmiała się drżąc, doceniając fakt, że Morgan próbuje zneutralizować napięcie. - Ale przyznam, że leżenie w szpitalu mnie frustruje.

- Nic dziwnego. - Morgan najpierw wpuścił do windy Tomasa, po czym wtoczył do niej wózek. - Mało kto lubi przymusową bezczynność, ale ty musisz do niej przywyknąć.

- Wiem - odparła z westchnieniem. Cieszyła się, że znów rozmawiają spokojnie, chociaż tylko ślizgali się po powierzchni spraw, zamiast się z nimi zmierzyć. Morgan jej pragnął, a ona jego. To przecież na pewno coś oznacza, prawda? - Cóż, nie będzie łatwo, gdy wrócimy do Derby. Zwłaszcza że nasze mieszkanie jest na ostatnim piętrze w domu bez windy.

- To duży problem. Masz jakichś przyjaciół lub sąsiadów, którzy ci pomogą?

- Z przyjaciółmi z dzieciństwa straciłam kontakt, a do Derby przyjechaliśmy niedawno i jeszcze nie nawiązałam żadnych znajomości.

- Wobec tego jest tylko jedno sensowne rozwiązanie.

- Jakie? - spytała, zdumiona ogarniającym ją lekkim podnieceniem.

- Ty i Tomas powinniście na razie pomieszkać u mnie. Morgan zgrabnie wypchnął wózek z windy, Tomas w podskokach pobiegł przytrzymać wahadłowe drzwi i po chwili znaleźli się na oddziale.

- Masz lepszy pomysł?

Co zrobić?

Katrina przez całe popołudnie biła się z myślami i wieczorem nadal nie miała pojęcia, jak postąpić. Dlatego z ulgą powitała przyście Grahama Walkera, niedawno operowanego muzyka, z którym parokrotnie gawędziła. Tym razem Graham przyszedł wymienić się czasopismami. Chirurgia była oddziałem koedukacyjnym, chociaż harmonijkowe drzwi dzieliły ją na salę męską i żeńską.

- Chyba już przewertowałaś te gazety. - Graham wskazał wzrokiem stertę pism na nocnej szafce i z żalną miną wzruszył ramionami, gdy z sali dla mężczyzn dobiegły głośne okrzyki. - Wszyscy słuchają transmisji z meczu futbolowego, więc od czterech godzin czytam - wyjaśnił.

- Widzę, że żaden z ciebie kibic - ze śmiechem stwierdziła Katrina. - Weź te szpargały i daj mi swoje. A najlepiej usiądź na chwilę i trochę pogadaj.

- Na pewno nie przeszkadzam? - Graham siadł, gdy przecząco pokręciła głową. - Dzięki. Prawdę mówiąc, nie zachwycała mnie perspektywa kolejnej godziny we własnym towarzystwie. Ci faceci są fajni, ale ja kompletnie nie znam się na sporcie.

- Podobno jesteś wiolonczelistą. - Katrina uśmiechnęła się szeroko na widok jego zdziwienia. - Szpital to wylegarnia plotek. Tutaj nic się nie ukryje.

- Na to wygląda. Osobiście niewiele mam do ukrycia. Niestety jestem taki, jak widać gołym okiem.

- Uszy do góry, Graham. Przyznam, że zazdroszczę ci talentu muzycznego.

Przez pewien czas gawędzili, opowiadając sobie nawzajem o swojej pracy. Graham grał w jednej z najlepszych w kraju orkiestr symfonicznych i wiele podróżował, miał więc o czym mówić. Mimo to nie monopolizował rozmowy i z przyjemnością słuchał o misji charytatywnej w Ameryce Południowej. A Katrina była zadowolona, że chociaż przez pół godziny nie musi zamartwiać się swoją sytuacją.

- Chyba już pójdę, bo zagadam cię na śmierć. - Graham podniósł się z krzesła, wziął plik czasopism i z nieco zafrasowaną miną zerknął na mijającą go Sandrę.

- Coś nie tak? - spytała Katrina.

- Nie jestem pewien - odparł przyciszonym tonem. - Widziałem dzisiaj, jak Sandra płakała. Spytałem, czy mogę jakoś jej pomóc, ale mnie spławiła.

- Nie ciebie pierwszego. - Katrina wspomniała o swoich doświadczeniach, aby Grahamowi nie było przykro.

- Och, nie to mnie martwi - zapewnił. - Po prostu strasznie mi żal tej kobiety. Najwyraźniej jest zrozpaczona. Co prawda związki męsko - damskie to dla mnie terra incognita; chyba dlatego wciąż jestem kawalerem i pewnie pozostanę nim do końca życia!

Katrina z niepokojem popatrzyła na swoją sąsiadkę i niepomiernie się zdziwiła, bo Sandra posłała jej nieśmiały uśmiech.

- Może zagadaj do niej teraz. - Katrina intuicyjnie czuła, że Sandra jest w nastroju do pogawędki. - Sama bym ją

zagadnęła, ale ktoś musiałby mnie zawieźć, a personel jest dzisiaj zagoniony.

- Czemu nie - zgodził się Graham. - Najwyżej powie mi, żebym spadał.

Katrina wstrzymała oddech, gdy Graham podszedł do łóżka Sandry. I odetchnęła z ulgą, gdy usiadł. Może przynajmniej problem tej biedaczki zostanie rozwiązany, pomyślała z westchnieniem.

Gdyby jeszcze zdołała jakoś wyprostować swoje sprawy. Wciąż się zastanawiała, czy zamieszkać z Morganem. Wydawało się to praktyczne, ale skutki jego bliskości mogły być różne...

Wkrótce rozpoczęły się godziny wieczornych wizyt, ona zaś zdumiała się na widok Morgana.

- Nie panikuj - powitał ją z uśmiechem. - Z Tomaszem wszystko w porządku. Hasał tak szaleńczo, że w końcu chętnie poszedł spać. Została z nim pani Mackenzie.

- Biedny maluszek. A ty wcale nie musiałeś przychodzić. Nie oczekuję codziennych odwiedzin.

- Wybacz, jeśli ci przeszkadzam.

- Nie, skądże! Nie to chciałam powiedzieć. - Przytrzymała go za rękę, gdy próbował wstać. - Proszę cię, zostań. Rzecz w tym, że i tak masz przeze mnie tyle dodatkowych obowiązków. Przecież niańczysz Tomasa.

- Sądzisz, że zasłużę na kanonizację? Chyba szybko zbieram niezbędne punkty. Jeszcze trochę tej harówki i zostanę świętym.

- Nie bądź sarkastyczny!

- Nie jestem. - Morgan zrobił urażoną minę.

- Akurat! Nie udawaj niewiniątka. Za dobrze cię znam, Morganie Grey. Masz przewrotne poczucie humoru.

- Tutaj uchodzę za człowieka całkiem pozbawionego poczucia humoru.

- Pewnie zasłużyłeś sobie na taką opinię. Wiem, jaki potrafisz być nadęty i zniechęcający, jeśli tego chcesz.

- Ale ciebie nie zniechęciłem, kiedy się poznaliśmy? Aż tak się nie starałem.

- I tak by ci się nie udało, bo zamierzałam lepiej cię poznać.

Uważnie oglądał jej dłoń, a Katrina odniosła wrażenie, że on celowo unikania spojrzenia jej w oczy. Zawsze umiał perfekcyjnie ukrywać swoje uczucia, lecz teraz chyba miał z tym trudności.

- Dlaczego masz tyle odcisków? - spytał, wodząc palcami po wnętrzu jej ręki.

- Od wyciągania ze studni wiadra z wodą. Wszyscy pracownicy misji porobili sobie odciski.

- Nie wybrałaś łatwego rozwiązania, angażując się w tę działalność za granicą.

- Ale lubiłam tę pracę. Nie zamieniłabym jej na nic innego.

- I nie podjęłabyś jej, gdybyśmy się nie rozstali.

- Nie. Zabawne, jak życie czasami się układa, prawda?

- Owszem. - Morgan jeszcze raz musnął stwardnienia i puścił jej dłoń. - Gdyby nasze drogi się nie rozeszły, nie wyjechałabyś do Ameryki Południowej i teraz nie miałabyś Tomasa.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - odparła sztucznie lekkim tonem. - Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla niego zrobiłaś, Morgan. Naprawdę nie miałam zamiaru aż tak cię angażować.

- Wiem. Powiedziałaś, że potrzebujesz dla niego tylko mojego nazwiska.

- Sądziłam, że niczego więcej nie zechciałabyś dać. Myliłam się?



- Tak. Nie mógłbym tylko wpisać swojego nazwiska na kawałku papieru i umyć rąk. To nie byłoby fair wobec Tomasa.

- Mógłbyś grać w jego życiu dowolną rolę. W takiej sytuacji nie obowiązują żadne sztywne reguły. Wszystko zależałoby od ciebie.

- To nie takie proste. Gdybym początkowo był obecny w życiu tego dziecka, a później się wycofał, to niepotrzebnie zamąciłbym mu w głowie.

- Dlaczego miałbyś się wycofać?

- Musiałbym, gdybyś później wyszła za mąż.

Usłyszała w jego głosie niemiłą nutę i trochę się zdziwiła. Morgan chyba nie martwi się tym, że kiedyś mogłaby kogoś poślubić?

- Nie planuję zamążpójścia, więc nie musimy tego brać pod uwagę - odparła stanowczo, aby rozwiać ewentualne wątpliwości.

- Może nie teraz, ale kiedyś, w przyszłości...

- I dlatego nie chcesz mi pomóc w załatwieniu adopcji?

- Zapewniam cię, że to tylko jeden z powodów. Cóż... po prostu wiem, że nie powinienem tego robić.

- Czyli nie zmienisz zdania - powiedziała cicho, usiłując ukryć rozczarowanie, bo przez jedną krótką chwilę łudziła się nadzieją, że Morgan jednak się zgodzi.

- Nie. To byłby duży błąd. - Morgan gwałtownie odsunął krzesło i wstał. - Lepiej już pójdę. Wolę zanadto nie żerować na dobrym sercu pani Mackenzie. Jutro przyprowadzę Tomasa.

- Dziękuję.

Odprowadziła go wzrokiem, zastanawiając się, dlaczego jest taka rozstrojona tym spotkaniem. Oczywiście była rozczarowana, ale miała też dziwne wrażenie, że Morgan omal

nie powiedział jej czegoś szczególnego, tylko w ostatniej chwili się rozmyślił. Co to mogło być?

Podniosła głowę, gdy ktoś przechodził obok, i ujrzała mężczyznę zmierzającego w stronę łóżka Sandry, która nadal gawędziła z Grahamem. Na widok przybysza zrobiła przerażoną minę, on zaś schylił się i cmoknął ją w policzek.

Graham zerwał się z miejsca i pośpiesznie wrócił na męską część oddziału, a kilka osób, które przyszyły do kobiety leżącej obok Katriny, zasłoniło jej Sandrę.

Ciekawe, czy ten facet to mąż Sandry, pomyślała. A jeśli tak, to dlaczego ona wyraźnie wpadła w popłoch?

Katrina westchnęła ciężko. Czemu jedno pytanie zawsze prowadzi do drugiego?

Prawie powiedział Katrinie prawdę!

Wstał i podszedł do okna. Było z niego widać wspaniałą panoramę miasta, lecz dzisiaj jej piękno nie podziało na niego kojąco. Od paru godzin wciąż od nowa przypominał sobie moment, w którym omal nie wyznał Katrinie, dlaczego nie pomoże jej adoptować Tomasa.

Miał to już na końcu języka, lecz w ostatniej sekundzie się wycofał i teraz czuł się jak ostatni tchórz. A przecież jest dojrzałym, prawie czterdziestoletnim mężczyzną! Powinien umieć rozprawić się ze swoją przeszłością. I zamierza tego dokonać. Już teraz. Wróci do szpitala i wszystko Katrinie opowie!

Odwrócił się i pomaszerował do holu, ale przy drzwiach raptownie przystanął. Nie może nigdzie iść. Nie może zostawić Tomasa samego, a wzywaniem pani Mackenzie w środku nocy nie wchodzi w grę. Musi odłożyć na później tę godzinę szczerości.

Poszedł więc do pokoju gościnnego i popatrzył na śpiące dziecko. Tomas leżał zwinięty w kłębuszek jak mały kociak,

był lekko zarumieniony, a do gładkiego czołka przyłgnęło kilka czarnych loczków.

Morgan delikatnie je odgarnął i poczuł, jak jego serce wzbiera czułością. Dzięki Tomasowi doświadczył uczuć, o których do niedawna nie miał pojęcia. Nie mógł jednak dopuścić do tego, aby to one nim kierowały. Musiał zrobić to, co najlepsze dla tego malca, a zgoda na adopcję wcale nie leżała w jego interesie. Może będzie prościej zostawić wszystko tak, jak jest, i niczego Katrinie nie opowiadać. To żadne tchórzostwo. Raczej działanie zgodne ze zdrowym rozsądkiem.

Rano Katrina obudziła się zdumiewająco wypoczęta. Rozejrzała się po sali i natychmiast wyczuła, że stało się coś złego. Zobaczyła narzeczoną Luke'a i cicho ją zawołała.

- Maggie, co się dzieje?

- Sandra zniknęła - przyciszonym tonem odrzekła pielęgniarzka. - Będzie niezła afera, bo aż do rana nikt nie wiedział, że pacjentka jest nieobecna.

- Serio? Przecież ktoś musiał zauważyć, że jej łóżko jest puste.

- Najwyraźniej nie. Tej nocy dyżurowały dziewczyny z agencji pielęgniarzkiej, a one nie znają pacjentów. Pewnie uznały, że łóżko Sandry jest wolne. Nie rozmawiaj o tym, dobrze? Lepiej żeby nikt z chorych się nie dowiedział.

Katrina obiecała dyskrecję i westchnęła. Co za wydarzenie! Gdzie podziewa się Sandra i dlaczego uciekła? Widocznie zawiadomiono Morgana, bo zjawił się już przed ósmą i z ponurą miną pomaszerował do swego gabinetu. Poranny obchód zrobił Luke w towarzystwie Maggie.

Katrina z pewną zazdrością obserwowała ich oboje. Nie afiszowali się z uczuciami, ale było oczywiste, że są zakochani. Szczęściarze, pomyślała. Mają przed sobą całą wspaniałą przyszłość.

Natychmiast zaczęła wspominać swój związek z Morganem i z ulgą przyjęła wiadomość, że pora na fizykoterapię. Wiedziała, że wykonując ćwiczenia, na pewno nie będzie mieć czasu na rozpamiętywanie przeszłości!

W poczekalni na dole spotkała Grahama Walkera. Okazało się, że już słyszał o zniknięciu Sandry i bardzo się o nią martwił.

- Niewiarygodne, że zrobiła coś tak głupiego - stwierdził, gdy razem czekali na fizykoterapeutów.

- Też się dziwię - przyznała Katrina. - Może sobie zrobić krzywdę. Ten mężczyzna wczoraj to był jej mąż?

- Tak. - Graham wymownie się skrzywił. - Chyba się wkurzył, bo z nią rozmawiałem.

- Powiedziała ci coś o sobie?

- Ten jej chłop nam przeszkodził. Jeśli mam być szczery, to coś mi się tutaj nie podoba.

Na tym skończyli rozmowę, bo zabrano ich do oddzielnych pomieszczeń. Katrina musiała wykonywać wiele różnych ćwiczeń, by podczas długiego okresu zrastania się kości udowej nie zeszywniał staw kolanowy, kostka i stopa. Gimnastykowała też całe ciało, ponieważ nie chodziła i z tego powodu mięśnie mogłyby zwiotczeć. Cała sesja była ciężką harówką, toteż sięgając po dwa ciężkie hantle, Katrina ostentacyjnie westchnęła.

- Chyba nie dam rady - jęknęła do Danny'ego Price, swego fizykoterapeuty, i otarła spoconą twarz ręcznikiem.

- Tylko się nie wymiguj, bo następnym razem podwoję ci te atrakcje.

- Sadysta! - Lubiła Danny'ego. Był stanowczy, ale sympatyczny. Zbliżał się do pięćdziesiątki i dawniej pracował w znanym klubie piłkarskim. Odszedł stamtąd, ponieważ chciał pomagać większej rzeszy ludzi. - No dobrze, jestem

gotowa - oświadczyła i w tej samej chwili po sąsiedzku zadzwonił telefon.

- Uratował cię dzwonek - zażartował Danny. - Chociaż... może i nie - dodał, gdy ktoś otworzył drzwi i do wnętrza wszedł Morgan.

- Chciałem sprawdzić, jak radzi sobie Katrina - powiedział. - Nie przeszkadzam?

- Wręcz przeciwnie - zapewnił Danny. - Wybrał pan świetny moment. Proszę mieć ją na oku, a ja odbiorę telefon. Tylko niech ta pani się nie obija!

- Nigdy się nie obijam! - zaprotestowała, gdy Danny wychodził. - A on dobrze o tym wie.

- Danny to uparciuch, ale osiąga wspaniałe rezultaty. Dlatego chciałem, aby właśnie on się tobą zajmował.

- Rozumiem. - Wzruszyła się tym przejawem troskliwości i szybko zaczęła ćwiczyć, żeby Morgan nie zauważył jej zakłopotania. Stał przy niej, gdy miarowo podnosiła ciężarki i je opuszczała.

- Spróbuj nieco dłużej trzymać ramiona pod kątem prostym do tułowia. To wzmocni mięśnie oraz zginacze nadgarstków i palców.

- Dobrze. - Powtarzała ćwiczenie kolejny raz, gdy wrócił Danny.

- Wybacz, Katrino, to był Roger Hopkins - wyjaśnił, najwyraźniej przejęty telefoniczną rozmową z dyrektorem szpitala. - Chce zamienić ze mną słowo na temat tej pacjentki, która zniknęła.

- Tak, Roger zamierza pogadać ze wszystkimi, którzy w ubiegłym tygodniu mieli do czynienia z Sandrą Sullivan - dodał Morgan. - Może dzięki temu uda się ustalić miejsce jej pobytu.

- Wątpię, czy na coś się przydam. - Danny jeszcze bardziej się zafrasował. - Ledwie ją znam, chociaż mieszkamy po sąsiedzku.

- Naprawdę? - zawołała Katrina. - Więc pewnie spotkałeś jej męża?

- Parę razy go widziałem, to wszystko. Facet nie jest szczególnie komunikatywny. Moja żona i ja zaprosiliśmy ich kiedyś na barbecue, ale się wymówili. Poszedłbym teraz do pana Hopkinsa, gdyby pan został z Katrینą, doktorze.

Danny pytająco spojrział na Morgana.

- Oczywiście. - Morgan poczekał, aż fizykoterapeuta zamknie za sobą drzwi, i z przewrotnym uśmiechem odwrócił się do Katriny. - Na co czekasz, młoda damo? Ja tu rządzę, więc do roboty!

- Co za tyran - burknęła, wycierając dłonie ręcznikiem. - Dobrze, że nie jesteśmy na okręcie, bo kazałbyś mnie przeciągnąć pod kilem, gdybym nie wykonała polecenia

- Nie ma obawy - odparł ze śmiechem i przysiadł na wyściełanej ławce. Był bez marynarki, a rozpięta pod szyją koszula ujawniała trochę ciemnego owłosienia.

Katrina poczuła w głębi trzewi muśnięcie żaru i pośpiesznie odwróciła wzrok. Za nic w świecie nie powinna się przyglądać nawet kawałkowi nagiego ciała Morgana!

On zaś okazał się całkiem bezlitosny i zmusił ją do starannego wykonania wszystkich ćwiczeń. Po ostatniej serii z jękiem oparła głowę o wyściełane oparcie, mając wrażenie, że jest równie bezwładna, jak szmaciana lalka.

- Ależ mi gorąco - mruknęła, wachlując się ręcznikiem. Uniosła włosy i wytarta kark.

- Nie masz czegoś do związania włosów?

- Zapomniałam wziąć z sali.

- Spróbuję coś znaleźć.

Morgan wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia i wrócił z gumką.

- Dzięki. - Katrina ściągnęła włosy, aby zebrać je w koński ogon, ale nie zdołała tego zrobić, bo ze zmęczenia zanadto drżały jej ręce.

- Pomogę ci. - Morgan wziął od niej gumkę i palcami przeczesał włosy, odgarniając je z twarzy Katriny.

Siedziała całkiem nieruchomo, usiłując zignorować reakcje swego ciała. Dotyk dłoni Morgana wprawiał ją w zachwyty i jednocześnie przerażał. Było cudownie znów poczuć jego palce poruszające się tak delikatnie, ale chyba zanadto się tym rozkoszowała!

- I jak? Nie za mocno?

Jego głos wibrował zmysłowością, co jednoznacznie sugerowało, że Morgan też rozkoszuje się dotykiem. Ta upajająca świadomość przyprawiła Katrinę o zawrót głowy.

- Katrino? Dobrze się czujesz?

Morgan pochylił się nad nią, ona zaś poczuła na policzku ciepło jego oddechu. Zapragnęła poczuć je na wargach i ledwie zdołała powstrzymać się przed odwróceniem głowy. Ten drobny ruch mógłby bowiem okazać się wielkim skokiem. Jeden pocałunek zawsze można uznać za przypadek, ale drugi to już skutek działania z premedytacją. Czy naprawdę miała ochotę za moment tłumaczyć się z tego, że pragnęła, aby Morgan ją pocałował?

- Tak, oczywiście - zamruczała, schylając się po ręcznik.

- To dobrze. - Morgan odchrząknął. - Chyba odwiozę cię na oddział.

- Pewnie marzysz o powrocie do domu - zauważyła, gdy Morgan popchnął wózek w stronę drzwi. - Pech, że musiałeś przyjść do pracy w wolny dzień.

- Nie było wyboru. Przemyślałaś sprawę zamieszkania u mnie na pewien czas? To naprawdę sensowne rozwiązanie, bo początkowo ktoś musi ci pomagać.

- I tym kimś powinienes być ty?

- Czemu nie? To nic wielkiego. Po prostu trochę cię wesprę. - Morgan wzruszył ramionami. - Ty zrobiłabyś dla mnie to samo.

- Oczywiście.

- Więc załatwione. - Morgan wezwał windę. - Zaraz pojedę po Tomasa. Nie może się doczekać spotkania z tobą.

Na oddziale Morgan oddał ją pod opiekę pielęgniarek i zaraz poszedł. Katrina zjadła lunch i położyła się, by odpocząć, ale nie była w stanie się odprężyć. Wciąż myślała tylko o tym, że Morgan wmanipulował ją w zamieszkanie u niego, nie miała jednak pojęcia, co w tej sytuacji zrobić. Gdyby odmówiła, na pewno spytałby, dlaczego, ona zaś nie potrafiłaby udzielić mu wyjaśnień. Cóż, w razie potrzeby rzeczywiście uczyniłaby dla niego to samo... Ale z drugiej strony... przebywanie pod jednym dachem z Morganem prawdopodobnie stworzy dodatkowe problemy. Jedno jest pewne - nie może z nogą w gipsie opiekować się żywotnym trzylatkiem. Co tu gadać, znalazła się dokładnie między Scyllą a Charybdą!



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następne dwa tygodnie okazały się wyjątkowo pracowite. Zamknięcie oddziału chirurgicznego w pobliskim Royal spowodowało znaczny wzrost liczby pacjentów w Dalverston General i Morgan harował za dwóch. Często musiał nawet zabierać papierkową robotę do domu. Siadał do niej, gdy położył Tomasa spać. Wielogodzinna harówka była męcząca, ale dzięki temu przynajmniej nie myślał o tym, jak będzie, gdy zamieszka tutaj Katrina.

Ale w przeddzień wypisania jej ze szpitala zaczął trochę panikować. Wiedział, że już dłużej nie będzie mógł chować głowy w piasek - lub raczej w stos papierzyk. Był taki zestresowany, że natychmiast zaatakował, gdy jego młoda asystentka, Cheryl Rothwell, pomyliła się podczas opisywania stanu jednej z pacjentek.

- Pani Wilson doznała złamania wewnętrznej kości łokciowej, tuż poniżej łokcia - wycedził, poprawiając koleżankę. - A kość promieniowa, czyli ta zewnętrzna, wyskoczyła ze stawu. Czy to jasne?

- Tak, sir, jak najbardziej. Dziękuję. - Cheryl spiekła raka.

A Morgan westchnął, czytając z ruchu warg pani Wilson: „Nie przejmuj się, kochaniutka”. Wiedział, że potraktował Cheryl zbyt ostro, oraz dlaczego jest rozdrażniony.

Zerknął na drugą stronę sali, zauważył, że Katrina mu się przygląda, i jego serce zabiło szybciej niż zwykle. Przez moment patrzyli sobie w „oczy, jej policzki leciutko się zarumieniły, on zaś poczuł kolejne harce swego głupiego serca.

Działał na nią tak samo silnie jak ona na niego, co zapewne skomplikuje sytuację, gdy zamieszkają razem. Nie mógł jednak cofnąć zaproszenia ani - szczerze mówiąc - nie chciał tego zrobić. Musiał tylko opracować jakiś... jakiś plan,

żeby poradzić sobie w tym układzie, choć z pewnością nie będzie to łatwe.

Później obchód stał się bardziej rutynowy. Cheryl co prawda była nieco przygaszona, ale nie okazywała irytacji, a Morgan z zadowoleniem uznał, że dzielnie zniosła jego reprimendę. Wiedział, że Cheryl kiedyś będzie znakomitą lekarką, potrzebowała tylko ciut więcej doświadczenia. Zamierzał ją pochwalić przy najbliższej okazji.

- Znając powypadkowy stan pacjentki, jakich postępów oczekiwałaby pani na tym etapie rekonwalescencji? - spytał, zatrzymując się przy łóżku Katriny.

- Powinno nastąpić częściowe zrośnięcie w obrębie tkanki kostnej, chociaż proces całkowitego wygojenia musi jeszcze potrwać kilka miesięcy - pośpiesznie odparła Cheryl. Popatrzyła na klisze i wręczyła je Morganowi.

- Zdjęcia wykonano wczoraj, zanim pańska żona... eee... pani Grey zostanie wypisana. Jak pan widzi, widać tu sporo nowej kostniny.

Morgan pod światło spojrzął na klisze, jednocześnie usiłując nie myśleć o tym, jaką przyjemność sprawiło mu nazwanie Katriny jego żoną. Oczywiście była nią, ale tylko formalnie, on zaś nie powinien cieszyć się teraz jak ostatni głupek. Bardzo zmartwiła go ta idiotyczna reakcja.

- Wygląda na to, że doktor Fabrizzi wykonał kawał dobrej roboty - stwierdził, siląc się na chłodny ton. - Nie spodziewam się żadnych problemów.

- Więc mam opuścić szpital jutro, zgodnie z planem? - spytała Katrina.

Oddał zdjęcia i odwrócił się do niej. Może tylko miał przywidzenia, lecz nagle odniósł wrażenie, że powietrze wokół jest naładowane elektrycznością. Zauważył, że łagodne zagłębienie u nasady szyi Katriny zdradziecko

pulsuje, ujawniając jej zdenerwowanie, i zapragnął ją uspokoić.

- Nie widzę powodów, żeby dłużej cię tu trzymać - oświadczył ze śmiertelną powagą. - Jeśli nie będziesz forsować tej nogi i pozwolisz jej przyzwyciężyć się zrosnąć, to w pełni odzyskasz formę.

- Ale na razie ktoś musi zaspokajać wszystkie moje potrzeby? - W orzechowych oczach Katriny nieoczekiwanie zamigotały iskierki rozbawienia.

Morgan z pewnym opóźnieniem w pełni pojął sens jej słów i omal nie jęknął. Jak mógł wcześniej nie pomyśleć o tym, jakiej pomocy przez kilka tygodni będzie musiał udzielać Katrinie? Owszem, ustalił z panią Mackenzie zakres jej nowych obowiązków, ale nie wziął pod uwagę tego, że Katrina nie zdoła sama się kąpać, rozbierać ani ubierać.

- Najważniejsze, żebyś na razie oszczędzała tę nogę - mruknął wymijająco.

Odwrócił się i stwierdził, że Cheryl i Armand St Juste przyglądają mu się z zainteresowaniem. Najwyraźniej wyczuli, że coś jest nie tak, co jeszcze bardziej go rozstroiło. Na szczęście zjawiała się pielęgniarka i powiedziała, że wzywają go na salę operacyjną.

- Doktorze St Just, zastąpi mnie pan i dokończy obchód - polecił, wdzięczny losowi za możliwość ucieczki. Nie przywykł do tego, że ludzie spekulują na jego temat, i nie miał pojęcia, jak w takiej sytuacji się zachować. - W razie wątpliwości proszę przysłać mi wiadomość na pager.

- Mais oui.

Armand poprowadził grupę do kolejnego łóżka. Po drodze Cheryl szepnęła coś do młodego Kanadyjczyka, on odpowiedział i oboje parsknęli śmiechem. Morgan i bez kryształowej kuli domyślił się, że rozmawiali o nim! Więc aż tak nad sobą nie panuje?

Ta myśl bardzo go rozstroiła. Zapomniał o niej dopiero na widok zafrasowanej miny Luke'a Fabrizziego, gdy wpadł na niego przy drzwiach szatni.

- Właśnie przyjęto Sandrę Sullivan - oznajmił Luke. - Nie jest z nią najlepiej.

- Co się stało? - Morgan zdjął marynarkę i zaczął przebierać się w płócienny, zielony strój.

- Zdaniem policji została strasznie pobita. Ma złamane oba przedramiona i wszystkie palce u rąk. Rzadko widuje się takie obrażenia. Wygląda również na to, że mostek znów jest uszkodzony, dlatego ci z izby przyjęć są mocno zaniepokojeni.

- Niech to szlag! Wiadomo, kto ją tak urządził?

- Policja szuka jej męża.

- Oby go znalazła.

Pacjentka już była pod narkozą, gdy Morgan wraz z Lukiem wszedł do sali. Na widok zmaltretowanego ciała kobiety Morgan poczuł przyływ gniewu. Nawet gdyby żył sto lat, nie byłby w stanie zrozumieć, jak człowiek może zrobić coś takiego innemu człowiekowi.

Morgan zdumiał się swoimi refleksjami. Nigdy do tej pory nie angażował się emocjonalnie w swoją pracę. Uważał, że ma tylko poskładać pacjenta i na tym koniec. Ale teraz ze zdziwieniem skonstatował, że już nie potrafi tak jak dawniej zdystansować się od swoich zawodowych obowiązków.

Czyżby z powodu obecności Katriny? Fakt, że znów pojawiła się w jego życiu, podziałał jak swoisty katalizator i wywołał reakcję łańcuchową, burząc cały dotychczasowy spokój. A co będzie, gdy Katrina odejdzie? Czy wszystko wróci do normy?

W sobotę rano Katrina wciąż nie była pewna, czy ma przyjąć propozycję Morgana. Zastanawiała się nad tym od tygodnia i nadal dręczyły ją wątpliwości.

- A co to za smutna mina? - zapytała siostra Bosanko. - Tylko mi nie mów, że przykro ci nas opuszczać.

- Nie, chętnie wyjdę ze szpitala, choć oczywiście było mi miło poznać ciebie i inne pielęgniarki.

- A my cieszymy się z poznania ciebie. Nieczęsto trafia się pacjent, który tak współpracuje z personelem, a na dodatek jest interesujący!

- Chyba tylko dlatego, że okazałam się żoną Morgana.

- Fakt - ze śmiechem przyznała Beatrice. - Cóż za radość odkryć, że doktor Grey jednak jest człowiekiem. - Beatrice chyba zdała sobie sprawę z tego, że popełniła gafę, bo pośpiesznie spytała: - Słyszałaś najnowsze wieści?

- Jakie? - Katrina nie widziała Morgana od wczoraj. Kazał jej przekazać, że wieczorem nie przyjdzie. Tylko pani Mackenzie przyjechała z Tomaszem w odwiedziny.

- Sandra Sullivan leży na intensywnej terapii. Bidulka jest w okropnym stanie. - Beatrice zniżyła głos. - Podobno ją pobito, a policja poszukuje jej męża.

- Może już przedtem ją bił i dlatego nie chciała zawiadomić go o wypadku.

- Bardzo możliwe. Szkoda, że nic nam nie powiedziała; przecież byśmy jej pomogli.

- Cóż, mnóstwo kobiet bitych przez swoich mężów nie umie się do tego przyznać.

- Tak, to prawda. - Beatrice obejrzała się, słysząc odgłos kroków. - O, jest doktor Grey i twój mały. Prawdziwy z niego cukiereczek.

- Też tak myślę. - Katrina wyciągnęła do Tomasa rękę, a on rzucił się jej na szyję. - Cześć, kochanie, jak się miewasz? - spytała, lecz nie zdążyła powtórzyć tego po hiszpańsku.

- Dziękuję, wspaniale - po angielsku zaszczębiotał dzieciak.

- Och, ty mądralo! Kto cię nauczył? - Katrina jeszcze raz go uścisnęła.

- Papa. - Tomas chwycił Morgana za rękę i przyciągnął go bliżej.

- Świetnie się spisałeś - pochwalił Morgan, pieszczotliwie mierzwiąc czarne loki chłopca. - Bien hecho!

- Widzę, że obaj robicie postępy - stwierdziła Katrina.

- Tomas radzi sobie dużo lepiej ode mnie, ale uczymy się od siebie nawzajem. Jesteś spakowana?

- Tak, wszystko zmieściło się do tego neseserka. Przywiozła go pani Mackenzie wraz z tymi ubraniami, które dla mnie znalazłeś. - Katrina spojrzała na swoją żółtą trykotową bluzę i beżową spódnicę. - Nawet jakimś cudem zdołałam ubrać się bez niczyjej pomocy - dodała z dumą, a Morgan nie wiadomo dlaczego wyraźnie się zachmurzył.

Pielęgniarka wywiozła ją z oddziału i na moment zatrzymała się przy recepcji, ponieważ Katrina chciała podziękować za wspaniałą opiekę. A na zewnątrz już czekał mały ambulans z prywatnej lecznicy.

- Och, nie powinieneś być zadawać sobie tyle trudu, Morgan - powiedziała, gdy sanitariusze pomagali jej wsiąść.

- Uznałem, że będzie ci wygodniej niż w aucie osobowym. Po co się męczyć, jeśli to nie jest konieczne?

- Niby tak - przyznała z uśmiechem. - Dzięki.

W drodze do domu Morgan gawędził o wszystkim i o niczym. Katrina miała wrażenie, że stara się dodać jej otuchy, i była mu za to wdzięczna. Ale siadając w salonie na kanapie, trzęsła się ze zdenerwowania. Odetchnęła z ulgą, gdy Morgan poszedł odprowadzić obu mężczyzn, mogła bowiem podczas jego chwilowej nieobecności wziąć się w garść.

Zaczęła rozglądać się po obszernym salonie, totalnie zaskoczona jego wystrojem. Pokój o białych ścianach był urządony ultranowocześnie, zupełnie inaczej niż mieszkanie,

które kiedyś zajmowali. Tutaj, na lśniącym parkiecie stała biała, skórzana kanapa, niskie stoliki z granitowymi blatami i wielki regał ze stalowymi półkami. Wyglądało na to, że Morgan celowo wybrał ten styl, aby wewnątrz niczym nie przypominało poprzedniego wspólnego lokum.

- Może napijesz się herbaty lub kawy?

- Bardzo chętnie herbaty - odparła spłoszona, ponieważ nie zauważyła, że Morgan wrócił do salonu. I westchnęła, gdy wyszedł do kuchni.

Musi zacząć lepiej nad sobą panować i nie podskakiwać jak przerażony kociak, ilekroć pojawia się Morgan. Powinna się uspokoić i poczuć tutaj jak w domu.

Nie... to ostatnia rzecz, na jaką mogłaby sobie pozwolić! Nie wolno jej nawet na moment zapomnieć, że jest w tym domu tylko gościem. Morgan zaprosił ją jedynie z poczucia obowiązku, a nie dlatego, że pragnął jej obecności.

Ta myśl sprawiła Katrinie zdumiewająco dużą przykrość. Na szczęście Morgan wniósł tacę z dwoma filiżankami herbaty i szklanką soku pomarańczowego. Przysunął stolik bliżej kanapy i postawił na blacie napoje.

- Gdzie Tomas? - spytał.

- Nie wiem. Zaraz go poszukam.

- Nie wstawaj. Ja go znajdę.

Po chwili gdzieś w pobliżu rozległ się głośny okrzyk Morgana i radosne chichotanie dziecka. Do pokoju wszedł Morgan, niosąc malca przerzuconego przez ramię.

- Co się stało?

- Ten mały wstręciuch chował się za drzwiami. - Morgan postawił chłopca na podłodze i zaczął go łaskotać. - Ja ci pokażę, ty łobuziaku! Żeby tak mnie przestraszyć!

Tomas śmiał się zaraźliwie, ale Katrinę nagle ogarnął smutek. Obserwowała Morgana, który z oczywistą radością

bawił się z dzieckiem, ale rezygnował z tych przyjemności, kierując się jakimiś głupimi zasadami.

A swoją drogą ciekawe, dlaczego jest taki przeciwny idei adopcji. Chodziło mu przecież nie tyle o samo załatwianie formalności, co raczej całą ideę, której nie akceptował. Nigdy jednak nie wyjaśnił, czemu zajmuje takie nieprzejednane stanowisko. Może warto zgłębić ten problem?

- Hałasujemy, a ty pewnie jesteś zmęczona. - Morgan spojrzał na nią z uwagą.

- Trochę, chociaż nie bardzo wiem dlaczego. - Nie zamierzała na razie podejmować tematu adopcji; wolała poczekać z tym na stosowniejszą chwilę. - Przez te trzy tygodnie nawet palcem nie kiwnęłam.

- To zrozumiałe, że szybko się męczysz. Twoje ciało nadal usiłuje sobie radzić ze skutkami wypadku.

- Chyba tak. - Wypiła herbatę i zdziwiona podniosła wzrok, gdy Morgan delikatnie wyjął z jej rąk filiżankę.

- Może położysz się na godzinę? Zabiorę Tomasa na farmę, żeby zobaczył osiołki, więc będziesz miała święty spokój.

- Och, nie wiem, czy powinnam... - Nie chciała obciążać Morgana opieką nad dzieckiem. Mogła sama się nim zająć.

- Jasne, że tak! Przecież jesteś tu po to, żeby wypoczywać. No chodź, Katrino. - Pomógł jej wstać i objął w talii. - Dojdiesz do sypialni? Może lepiej cię zaniosę?

- Nie! - Tylko tego brakowało, żeby Morgan wziął ją na rękę. Dawniej robił to tyle razy...

- Zawsze byłaś zanadto niezależna.

Wyczuła w jego głosie dziwną nutę i pomyślała, że jemu też przypomniały się tamte chwile, gdy bez pytania niósł ją do łóżka. Nie ulegało wątpliwości, że oboje nawet wbrew własnej woli będą wspominać tamte czasy. Cóż za idiotyczna sytuacja.



- Sypialnię będziesz niestety musiała dzielić z Tomaszem. Rzadko miewam gości, więc nie było sensu kupować wielkiego mieszkania.

- Żaden problem - zapewniła, zadowolona ze spokojnego tonu swego głosu. Położyła się na łóżku i rozejrzała wokoło. Również i ten pokój był umeblowany bardzo nowocześnie, wręcz w surowym stylu. Ale przyklejone taśmą do ściany kolorowe rysunki Tomasa przyjemnie ożywiały wnętrze.

- Widzę, że Tomasz już się zadomowił - stwierdziła pogodnie. Widok dziecięcych obrazków nastroił ją optymistycznie. Początkowo na pewno będą problemy, ale po okresie adaptacji oboje z Morganem jakoś ze sobą wytrzymają.

- Tak, uwielbia rysować. A to mieszkanie wymaga trochę cieplejszych akcentów. Było apartamentem reklamowym, już wyposażonym, więc kupiłem je ze wszystkim, co tu się znajdowało, choć niezupełnie jest w moim guście.

- Och, rozumiem! A ja myślałam... - W porę ugryzła się w język. Nie zamierzała przypominać Morganowi o wspólnej przeszłości.

- Co myślałaś? Nasze życie będzie strasznie trudne, jeśli mamy zważać na każde swoje słowo.

- Cóż... przyszło mi do głowy, że celowo wybrałaś ten styl, bo bardzo się różni od naszego dawnego mieszkania.

- Jak już wiesz; niczego nie wybierałem. Wszystko jest dziełem architektów. No dobrze, pozwolę ci odsapnąć. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję.

Westchnęła, gdy Morgan wyszedł. Najwyraźniej nie był zachwycony jej uwagą o mieszkaniu, ale sam nalegał, aby była szczerą. Mimo to w przyszłości chyba powinna bardziej zważać na słowa. Zamierzała być modelowym gościem - uprzejmym, sympatycznym, broń Boże nie nachalnym - i

robić wszystko, co w jej mocy, aby jak najszybciej odzyskać siły.

Musi wkrótce być w dobrej formie, jeśli chce sfinalizować sprawę adopcji. Wiedziała, że bez pomocy Morgana będzie musiała stoczyć ostrą walkę z władzami, ale w końcu Tomas zostanie jej synkiem!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota minęła lepiej, niż Morgan się spodziewał. Czyżby aż do dziś martwił się na zapas? Przecież oboje z Katriną są dorosłymi, rozsądnymi ludźmi, więc na pewno jakoś zdołają koegzystować przez kilka najbliższych tygodni.

Położył Tomasa spać i wrócił do salonu. Katriną - z zagipsowaną nogą opartą o taboret - siedziała na kanapie, najwyraźniej zrelaksowana. Trochę wypoczynku chyba dobrze jej zrobiło, bo już nie była taka blada jak przed południem. Ciekawe, czy ona też niepokoi się perspektywą mieszkania razem?

- Mały śpi jak suseł, więc może zafundujemy sobie po kieliszku wina? Chyba zasłużyliśmy.

- Chętnie. Od niepamiętnych czasów nie piłam przyzwoitego wina.

- Serio?

- Miejscowy ksiądz na terenie misji zawsze częstował wszystkich winem własnej roboty i nalegał, aby każdy wypił z nim przynajmniej szklaneczkę. Nie wiem, z czego je robił, ale było takie mocne, że prawie zżerało emalię z zębów!

- Brr... Obiecuję, że to, które mam, nie przyśpieszy twojej wizyty u dentysty.

Morgan poszedł do kuchni po wino i przez chwile się zastanawiał, które wybrać - białe czy czerwone. Po namyśle otworzył butelkę białego, wziął kieliszki i wrócił do pokoju. Katrina miała przymknięte powieki i z głową opartą o poduszki słuchała muzyki z płyty, którą Morgan nastawił przed chwilą.

- Wspaniała piosenka - zamruczała. - Kto to?

- Irlandzki zespół. W ostatnich latach kilka ich utworów stało się wielkimi przebojami. - Postawił kieliszki na stoliku i napełnił je.

- Nic dziwnego. Ta dziewczyna ma taki słodki głos. - Katrina z westchnieniem otworzyła oczy. - Muszę nadrobić tyle zaległości. Nie mam zielonego pojęcia o żadnych nowościach z tej dziedziny. Tam, gdzie pracowałam, rzadko docierały wieści ze świata.

- Zafundowałaś sobie sporą zmianę. Ameryka Południowa to nie Londyn.

- Tak, przeżyłam kulturowy szok. - Wypiła łyżeczek wina i uśmiechnęła się. - Mmm... pyszne!

- Nie za mocne? - zażartował Morgan.

- Szkoda, że nie próbowałeś wyrobu ojczulka Ignatiusa. Wiedziałbyś, co to moc. Jedna z naszych pielęgniarek usunęła tapety za pomocą jego słynnego trunku!

- Cud, że przetrwałaś w takich warunkach.

Morgan także napił się wina i patrząc na Katrinę, nieoczekiwanie stwierdził, że chciałby poznać więcej szczegółów z jej życia w ciągu tych minionych czterech lat.

- Cóż, czasem było stresująco. Sporo tamtejszych dzieciaków sprawiało różne problemy - wachało kleje lub inne substancje, więc nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać. Ale generalnie to właśnie dzieci stanowiły jasny punkt trudnej rzeczywistości, ich pogoda ducha i śmiech dodawały nam otuchy i chęci do działania w warunkach wszechobecnej nędzy.

- Nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić takiej egzystencji. - Morgan pomyślał o tych wszystkich niebezpieczeństwach, na jakie Katrina zapewne się narażała. Wiedząc, gdzie ona przebywa i czym się zajmuje, chyba nie mógłby spokojnie żyć. Pewnie narażała się na Bóg wie co, pomagając owym dzieciom.

Uświadomił sobie, że o coś spytała, i zmarszczył brwi.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Zastanawiałam się, co cię skłoniło do wyjazdu z Londynu.

- zaproponowano mi odpowiedzialne stanowisko w Dalverston General - odparł wymijająco. Przecież nie mógł powiedzieć, że chciał zostawić za sobą miejsce, gdzie wszystko przypominało mu właśnie ją i ich małżeństwo. - Ten szpital uchodzi za jeden z najlepszych w kraju, a mnie dano tutaj wolną rękę. Byłoby głupotą nie przyjąć takiej wspaniałej propozycji.

- Oczywiście.

- Nigdy nie żałowałem tej decyzji. - Czyżby usłyszał w głosie Katriny nutę żalu? - Dalverston to urocze miejsce. Polubiłem je, a zespół lekarzy też jest nadzwyczajny. Wielka szkoda, że Luke odchodzi.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Dostał angaż w Bostonie i po ślubie oboje z Maggie wyjeżdżają do Stanów.

- Więc czekają cię same zmiany... zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym.

- Jakoś przetrwam - mruknął odrobinę cierpkim tonem i dopełnił kieliszki.

- Och, w to nie wątpię, Morgan.

Znów odniósł wrażenie, że zabrzmiało to trochę melancholijnie.

- Jesteś czymś rozstrojona?

- Skądże - zaprzeczyła natychmiast i sięgnęła po kieliszek. - To wino naprawdę jest wykwintne.

- Cieszę się, że ci smakuje - odparł uprzejmie. Mimo jej zapewnienia czuł, że coś ją zdenerwowało.

Ta świadomość tak dalece go zaniepokoiła, że na moment zapomniał o ostrożności.

- Przynajmniej za jedno mogę być wdzięczny mojemu ojczymowi: że nauczył mnie wybierać dobre wina - palnął bez

namysłu i natychmiast tego pożałował. Chyba nigdy dotąd nie wspominał o swoim ojczymie i teraz poczuł przyśpieszone bicie serca, gdy Katrina odstawiła kieliszek tak raptownie, że mocno stuknął o blat.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Morgan?

- Och, właściwie nic szczególnego.

- Czyżby? - Zaśmiała się kpiąco. - Daj spokój. Pierwszy raz usłyszałam w twoim głosie tyle nienawiści!

- Zdawało ci się.

Wstał i podszedł do okna. Niewiarygodne, że tak bezmyślnie ujawnił część tego, co skrzętnie ukrywał przez tyle lat. Czyżby nadeszła pora, aby wreszcie zrzucić ten ciężar i powiedzieć jej o wszystkim?

- Nie sądzę, Morgan. Wiem, co usłyszałam. Wiem również, że zawsze wymigiwałeś się od mówienia o swojej przeszłości. Dlaczego? Jakie sekrety ukrywasz?

- Żadnych. Mówiłem ci, że mój ojciec zmarł, gdy byłem niemowlęciem, a dziewięć lat później matka wyszła powtórnie za mąż. Obecnie oboje nie żyją, więc o czym tu gadać? To stare dzieje, nie mające związku z dniem dzisiejszym.

- Doprawdy? - Posłała mu gniewne spojrzenie, gdy się odwrócił. - Naszą osobowość kształtuje dzieciństwo. Czemu uważasz się za wyjątek?

- Wcale nie - parsknął, zirytowany jej dociekliwością. - Za wiele się dopatrujesz w jednej głupiej uwadze.

- A może raczej powinnam zadać ci parę pytań na ten temat? Może należało zrobić to dawno temu?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi!

- Czemu jesteś taki przeciwny idei adopcji? Tak w ogóle, nie tylko w kontekście Tomasa. Gdy się dowiedzieliśmy, że jesteś bezpłodny, lekarz wspomniał o adopcji, ale ty nawet nie chciałeś o tym myśleć. Dlaczego, Morgan? Muszę to wiedzieć.

- Bo nie uważam adopcji za dobre rozwiązanie, i kropka. Chciałem mieć dziecko z tobą, a nie cudze.

- Ja też, Morgan. Niczego na świecie nie pragnęłam bardziej niż naszego dziecka - szepnęła, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Wybacz. - Podeszedł do niej i przykucnął, ujmując jej dłonie. - Nie zamierzałem cię denerwować.

- Wiem - mruknęła z bladym uśmiechem. - Pewnie jestem nadal rozstrojona po tym wypadku i w ogóle...

- Masz prawo. To były trudne tygodnie, prawda?

- Owszem - przyznała z westchnieniem. - Ale dobrze dajemy sobie radę. Lepiej, niż przypuszczałam.

- Też się martwiłaś, że będzie między nami więcej zgrzytów?

- Nie mów, że ty się czegoś obawiałeś!

- Więc aż tak dobrze to ukrywałem? - zaśmiał się. - Bardzo wątpię. Ciebie nigdy nie byłem w stanie oszukać.

- To dobrze. - Dotknęła dłonią jego policzka, a Morgan poczuł, że krew szybciej zatętniła mu w żyłach, zaś serce wezbrało przemożnym pragnieniem. - Cieszę się, że nadal tak dobrze się rozumiemy. - Cofnęła rękę i dodała z udawaną beztroską w głosie: - Chyba już pójdę spać, bo oczy mi się kleją. Podejrzewam, że to skutki tego wina.

- Możliwe. - Morgan wstał i pomógł jej się podnieść. Jej bliskość sprawiła, że przez chwilę słodko cierpiał, wdychając zapach skóry Katriny, czując jej ciało przy swoim. Musiał sięgnąć do rezerw samokontroli, żeby nie uczynić czegoś naprawdę głupiego.

Prowadząc Katrinę do pokoju, zastanawiał się, czy zdoła sama się rozebrać. Co powinien zrobić, jeśli poprosi go o pomoc? Czy zdołałby oprzeć się takiej pokusie?

Ale Katrina oszczędziła mu rozterek.

- Dobranoc, Morgan - powiedziała, wchodząc do sypialni.  
- Do jutra.

- Dobranoc - odparł, wdzięczny losowi za to, że nie wystawił go na trudną próbę.

Wrócił do salonu i z pełnym kieliszkiem podszedł do okna. Gwiazdy na niebie wyglądały jak brylanty rozsypane na granatowym aksamicie. Lśniły i migotały, ale on ich nie widział, ponieważ oczy miał pełne łez.

Zrozumiał bowiem, że nie przestanie kochać Katriny do końca swoich dni.

Wspólna niedziela okazała się taka męcząca, że Katrina z ulgą przyjęła nadejście poniedziałku. Przez cały weekend Morgan traktował ją z nienaganną uprzejmością, ale było jasne, że celowo usiłuje zachować dystans.

A kiedy w poniedziałek rano wszedł do kuchni, ubrany już do wyjścia, zaczęła żałować, że w ogóle poruszyła w sobotę wieczorem temat adopcji. I tak niczego się nie dowiedziała, chociaż w głębi duszy była niemal pewna, że opory Morgana mają jakiś związek z jego dzieciństwem.

- O ósmej przyjdzie pani Mackenzie, więc nie przejmuj się sprzątnieniem - powiedział Morgan, nalewając sobie kawę. - Zrobi ci lunch, a później weźmie Tomasa do parku, żebyś mogła odpocząć.

- Po południu mam fizykoterapię - przypomniała, usiłując zbagatelizować obojętny ton Morgana. Traktował ją jak kogoś niemal obcego: uprzejmie i bez cienia emocji.

- Zapomniałem o tym. - Morgan odstawił filiżankę i podszedł do telefonu. - Zamówię taksówkę, żeby zawiozła cię do szpitala, a potem z powrotem do domu.

- Nie trzeba. Przyjedzie po mnie karetka.

Do kuchni w podskokach wbiegł Tomas i Katrina odetchnęła z ulgą. Woląca nie kontynuować tej ugrzecznionej



rozmowy z Morganem. Gdy podała dziecku miseczkę płatków i sok, Morgan już dopił kawę i był gotowy do wyjścia.

- W razie potrzeby zadzwoń do mojego gabinetu i zostaw wiadomość sekretarce. Zawsze wie, gdzie mnie znaleźć.

- Nie ma obawy, dam sobie radę.

- Tylko się nie forsuj.

- Dobrze, panie doktorze. Nie jestem kompletną idiotką, więc nie pójdę z tą nogą na długi spacer. - Groźnie łypnęła na gips, nagle rozjuszona swoją bezradnością, a Morgan parsknął śmiechem.

- Kto cię wie, Katrino. Jesteś zdolna do wszystkiego!

- Dlaczego mi się zdaje, że to nie był komplement? - mruknęła, patrząc z zachwytem na rozpogodzoną twarz Morgana.

- Bo jesteś zanadto podejrzliwa.

Posłał jej kolejny ciepły uśmiech i zaraz chyba zdał sobie sprawę z tego, że popełnił błąd. Katrina poczuła w sercu ukłucie bólu, gdy nagle spowaźniał. Jakie to przykre, pomyślała, że mimo tego wszystkiego, co kiedyś nas łączyło, teraz okazuje mi taki chłód. Ledwie zdołała wybąkać słowa pożegnania, bo dławilo ją w gardle.

Niedługo po wyjściu Morgana powitała panią Mackenzie, zadowolona, że nie będzie mieć czasu na niewesołe rozważania. Starsza pani była przed łąty pielęgniarzką w malutkim szkockim szpitalu i umiała sobie radzić nawet w najtrudniejszych warunkach. Teraz wymyśliła metodę pozwalającą Katrinie wziąć prysznic. Postawiła w wannie taboret, aby oprzeć na nim zagipsowaną nogę, i starannie okryła ją kilkoma plastikowymi workami na śmieci.

- Cudownie! - stwierdziła Katrina, gdy gospodyni pomagała się jej wycierać. - Wczoraj umyłam się gąbką, ale nie ma to jak prawdziwa kąpiel. Dziękuję.

- Nie ma za co. Zaraz osuszę pani plecy, a ten młody dżentelmen pewnie zechce pomóc w ubieraniu.

Tomas natychmiast się rozpromienił i radośnie zaklaskał, a Katrina zdumiała się, że zrozumiał, w czym rzecz.

- Uczy go pani angielskiego?

- Czasami, ale umiejętności Tomasa to głównie zasługa doktora Greya. Bawi się z chłopcem całymi godzinami. I wie pani co? Już nie jest takim ponurakiem jak dawniej. Zmienił się chyba również dlatego, że pani tu jest.

Katrina nie skomentowała tej uwagi. Woląca się nie łudzić. Dzisiejsze zachowanie Morgana dowodziło bowiem, że zmiana na lepsze jest tylko chwilowa.

Tuż po pierwszej zjawił się szpitalny ambulans. Wewnątrz siedziało już kilka osób również dowożonych na fizykoterapię. Dalverston General oferował swoim pacjentom nie tylko wszechstronną opiekę medyczną, lecz także stwarzał modelowe warunki do korzystania z niej.

W poczekalni Katrina spotkała Maggie Carr, która przed dyżurem poszła po zakupy.

- Zostało coś w sklepach? - zażartowała Katrina, wymownie patrząc na liczne torby, które Maggie postawiła na podłodze.

- Niewiele! O Boże, jestem wykończona - jęknęła Maggie. - Łaźnienie po sklepach to straszna męczarnia, a jeszcze mnie czeka ośmiogodzinny dyżur.

- Trzeba było szaleć w dzień wolny od pracy.

- Wiem, ale ciągle brakuje mi czasu. Ślub już za trzy tygodnie, a zostało jeszcze tyle do zrobienia. Ale jeden problem już rozwiązałam. Najważniejszy. - Maggie wyjęła z torby nocną koszulkę z kremowego atłasu i koronki.

- Och, jakie чудо! Gdzie ją kupiłaś?

- W nowym butik przy głównej ulicy. Mają tam najpiękniejszą bieliznę świata. - Maggie przyłożyła fatalaszek

do siebie i westchnęła z rozmarzeniem. - Oby Loke'owi się spodobało.

- O to nie musisz się martwić. Ta szmatka wygląda jak marzenie.

- Na dodatek jest zupełnie inna niż pierwsza koszula, w której Luke mnie zobaczył. - Maggie ze śmiechem złożyła nowy nabytek i wsunęła go do torby.

- Zabierz mnie na fizykoterapię i opowiedz, jak to było.

- Zgoda. - Maggie podniosła zakupy, położyła je na kolanach Katriny i zaczęła pchać wózek. - Zanim jeszcze związaliśmy się ze sobą, Luke kiedyś u mnie przenocował. W ogóle nie przejmowałam się tym, w czym idę spać, więc gdy rano spotkaliśmy się w kuchni, zobaczył nocną koszulę, którą podarowali mi bracia. Miała na biuście wielki napis: NIENAWIDZĘ PORANKÓW, ALE JESTEM FANTASTYCZNA W ŁÓŻKU!

- O rany! - Katrina parsknęła śmiechem... i nagle się rozplakała.

- Hej, co ci jest? - Maggie skierowała wózek do wnęki.

- Nic. - Katrina spróbowała się uśmiechnąć. - Wybacz. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Czyżby? Chyba się domyślam, w czym kłopot. Chodzi o Morgana, prawda?

- Nie, skądże. Chociaż... właściwie tak. Wszystko strasznie się pogmatwało. W ogóle nie powinnam była przyjeżdżać do Dalverston. Tylko pogorszyłam sytuację.

- Może teraz tak ci się wydaje, ale czasem, trzeba mocno się natrudzić, żeby do końca zrozumieć swoje problemy. A ja odnoszę wrażenie, że ty i Morgan nigdy tak naprawdę nie stawiliście im czoła.

- Och, ja próbowałam, ale to nie było łatwe. Dowiedzieliśmy się, że nie możemy mieć dzieci, i ta wieść całkiem nas zdruzgotała. Zwłaszcza Morgana, bo to on okazał

się bezpłodny. Usiłowałam go przekonać, że to nie ma wpływu na moje uczucia, ale Morgan nawet nie chciał mnie wysłuchać. Od razu uznał, że musimy się rozstać. Nie zdołałam przemówić mu do rozsądku.

- Cóż, pewnie sama byłaś wtedy strasznie rozstrojona. To zrozumiałe. Ale sytuacja się zmieniła, pojawił się Tomas. A gdybyś tak przekonała Morgana, że obecnie możecie zacząć wszystko od nowa?

- Sugerujesz, że moglibyśmy do siebie wrócić?

- Och, Katrino... - Maggie roześmiała się perliście. - Przecież musiało ci to przyjść do głowy? Dlaczego prosiłabyś go o pomoc przy adopcji, gdybyś nie chciała dać waszemu związkowi drugiej szansy?

- Chodziło mi tylko o to, że jako małżeństwo łatwiej załatwilibyśmy formalności. Władze od razu przyznałyby nam dziecko, bo ono potrzebuje matki i ojca...

- To jedyny powód? Powiedz, tak z ręką na sercu... bo coś mi się zdaje, że sama siebie oszukujesz. Przecież nadal kochasz Morgana; to widać gołym okiem. Pytanie tylko, co poczniesz z tym fantem?

Katrina milczała, bo z wrażenia zaschło jej w gardle, a serce zaczęło galopować w takim tempie, że cała się trzęsła. Wcale nie kocha Morgana. To absolutnie wykluczone! A jednak...

Zamknęła oczy, usiłując zapanować nad chaotyczną, galopadą myśli. Dotyczyły przeszłości i teraźniejszości, splatały się ze sobą i wzajemnie zwalczały, ona zaś nie umiała sensownie ich uszeregować. Lecz po chwili jedna z nich zdominowała pozostałe i Katrina bezgłośnie ją powtórzyła. Jak by się czuła, gdyby jej powiedziano, że już nigdy nie zobaczy Morgana?

Otworzyła oczy i odważnie popatrzyła na Maggie. Koniec z oszukiwaniem samej siebie.

- Masz rację - przyznała. - Rzeczywiście kocham Morgana. Tak samo jak dawniej.

- Całe szczęście! - Maggie roześmiała się z wyraźną ulgą.  
- A już się martwiłam, że mam jakieś przedślubne przywidzenia.

- Bynajmniej. Jesteś równie normalna jak reszta z nas...  
Może nawet bardziej.

- Dzięki. Właśnie to chciałam usłyszeć. - Maggie wypchnęła wózek z powrotem na korytarz i zawiozła Katrinę przed gabinet fizykoterapii. - Mam nadzieję, że znajdziesz odpowiednie rozwiązanie, Katrino. Miłość jest zbyt cenna, aby wypuścić ją z rąk.

- Wiem, ale sytuacja chyba jest patowa. Mimo to spróbuję się z nią zmierzyć. Koniec ze zgłębianiem swoich uczuć. Pora działać! - Katrina pomachała przyjaciółce na pożegnanie i westchnęła. Owszem, kocha Morgana, ale co może zrobić? Prawdę mówiąc, chyba niewiele. Zwłaszcza że w żadnym wypadku nie chciałaby przysporzyć Morganowi więcej cierpienia, wyznając mu miłość.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- To istny skandal! Ten, kto to zrobił, nie ma prawa uważać się za chirurga! - Morgan zrećźnie złamał kość i spojrzał na asystującą mu przy operacji Cheryl. - Ten biedny dzieciak znów będzie musiał nosić gips przez dziesięć tygodni.

Adam Marshall został skierowany do szpitala przez swego lekarza rodzinnego, ponieważ od dawna uskarżał się na bóle w prawej kostce, a pół roku wcześniej doznał złamania kości strzałkowej i piszczelowej. Kości złożono i unieruchomiono nogę aż do kolana, ale zabieg wykonano nieprawidłowo. Kości co prawda się zrosły, ale doszło do ich zdeformowania. Właśnie dlatego Morgan był taki sfrustrowany.

- Jeśli w ten sposób pracowano w Royal, to można się tylko cieszyć, że zlikwidowano u nich ortopedię - burknął, zestawiając kości od nowa.

- Podobno tamtejszy personel nie był tym zachwycony - mruknęła Cheryl.

- Powinien lepiej przykładać się do roboty.

- To prawda. Nie pojmuję, jak chirurg mógł zrobić coś takiego!

Morgan uniósł brwi, zdumiony żarem w głosie młodszej koleżanki. Zazwyczaj nie wyrażała opinii tak gwałtownie.

- Cieszy mnie nasza zgodność, doktor Rothwell. - Morgan po krótkim namyśle postanowił podsycić jej entuzjazm. - Może dokończy pani za mnie? Proszę zająć się tą kością strzałkową.

- Och, mogę?

- Oczywiście. Nie sugerowałbym tego, gdybym nie miał pewności, że sobie pani poradzi.

Cheryl bez trudu wykonała zadanie i Morgan nie omieszkał jej pochwalić, gdy wychodzili z sali operacyjnej.

- To był kawał dobrej roboty, Cheryl. Świetnie się pani spisała.

- Dziękuję, sir! - Cheryl z rozradowaną miną pomknęła do swojej szatni.

Morgan także poszedł się przebrać. Zdejmując z siebie zielony strój, zaczął coś nucić. Jak miło jest sprawić komuś przyjemność, pomyślał z niejakim zdziwieniem.

I natychmiast otrzeźwiało, bowiem przypomniał sobie, jaka nieszczęśliwa wydawała się dziś rano Katrina. Cóż, traktował ją chłodno, ale nie miał wyjścia. Przecież nie mógł wyznać, że kocha ją do szaleństwa!

Wracając do domu, obawiał się dzisiejszego wieczoru. Wiedział, że musi zważać na każde swoje słowo, żeby nie zdradzić targających nim uczuć.

W holu chwycił na ręce wybiegającego z pokoju Tomasa i posadził go sobie na barkach. Następnie poszedł prosto do kuchni, z której dochodziły jakieś apetyczne zapachy. Ale zamiast pani Mackenzie zastał tam Katrinę. Siedziała na wysokim stołku obok kuchenki i mieszała perkoczący sos do spaghetti.

- Co ty wyprawiasz?!

- Gotuję. Pani Mackenzie musiała iść do dentysty, więc zwolniłam ją wcześniej.

- I uznałaś, że z tą nogą możesz szaleć w kuchni?

Wziął głęboki oddech i zmierzył Katrinę groźnym spojrzeniem, ale tak naprawdę miał przemożną ochotę chwycić ją w ramiona i całować aż do utraty tchu.

- Nie jestem inwalidką - syknęła gniewnie. - Ludzie w gorszym stanie świetnie dają sobie radę!

Jeszcze raz zamieszała sos i wstała, a Morgan szybko ją podtrzymał, gdy lekko się zatoczyła. Tuląc ją do siebie, usiłował nie myśleć o tym, jaka jest ciepła, lecz równie dobrze mógłby prosić słońce, aby przestało świecić.

- Podaj mi kule.

Drgnął, uświadomiwszy sobie, że nadal ją obejmuje. Rozejrzał się po kuchni i zobaczył oparte o blat dwie metalowe kule.

- Dostałaś je dzisiaj? Chyba jeszcze za wcześnie na taką samodzielność.

- Danny stwierdził, że jestem modelową pacjentką i robię imponujące postępy. Dlatego dał mi ten sprzęt, choć na razie chodzę trochę chwiejnie.

- Nic dziwnego. Trzeba się przyzwyczaić. - Dał jej kule i poczekał, aż wsunie ręce w zaokrąglone uchwyty. Następnie przytrzymał Tomasa, który tak podskakiwał, że omal jej nie przewrócił. - Uważaj! Chyba nie chcesz, żeby mamusia znów zrobiła sobie krzywdę?

- Och, on myśli, że to wspaniała zabawa, ale ja chcę ćwiczyć jak najwięcej, żeby sprawniej się poruszać.

- Tu, po mieszkaniu? - spytał, zastanawiając się, co go zdenerwowało.

- Nie, gdy już wrócimy do Derby. - Katrina wzięła głęboki oddech. - Doceniam twoją pomoc, Morgan, ale sądzę, że powinnam jak najszybciej pojechać z Tomaszem do domu. Skontaktuję się z wydziałem opieki społecznej i spróbuję załatwić dla nas jakąś dochodzącą pomoc.

Milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Targały nim sprzeczne uczucia. Najchętniej zaczęłyby przekonywać, że to idiotyczny pomysł, ale z drugiej strony... cóż, nie ulega wątpliwości, że pobyt Katriny tutaj będzie stwarzał coraz więcej problemów.

- Skoro już podjęłaś decyzję, to nie zamierzam cię od niej odwozić - odparł, wzruszając ramionami.

Nie miał pojęcia, jakim cudem jest w stanie mówić tak obojętnie, gdy czuł, że serce pęka mu z bólu. Kochał Katrinę, a już wkrótce rozstanie się z nią na zawsze! Ona zjawiła się



tutaj tylko dlatego, że liczyła na jego wsparcie. Odmówił, więc już nic jej w Dalverston nie trzyma.

- Kiedy planujesz wyjazd? - spytał, usiłując nadać swemu głosowi normalne brzmienie.

- Po koniec tygodnia. - Popatrzyła na kule, a potem przeniosła spojrzenie na niego. W jej oczach na moment pojawił się dziwny wyraz. - Chyba się nie obrazisz, Morgan? Nie chcę, żebyś uznał mnie za niewdzięcznicę...

- Nie ma obawy - zapewnił pośpiesznie, aby wreszcie skończyć tę rozmowę.

Obawiał się bowiem, że jeszcze chwila, a zacznie błagać swą żonę o pozostanie. Był bliski wyznania, że nie może bez niej żyć, a na to nie mógł sobie pozwolić. Tylko tego brakuje, by zastosował wobec niej emocjonalny szantaż.

- To dobrze - odparła z pogodnym uśmiechem, pokuśtykała do kuchenki i znów zaczęła mieszać sos.

Morgan poszedł do sypialni się przebrać, usiłując sensownie reagować na paplaninę Tomasa. Ale nie potrafił się skupić, ponieważ czuł się tak, jakby coś w nim umarło. Już za kilka dni Katrina na zawsze zniknie z jego życia. I co dalej?

Katrina włączyła telewizor, by czymś zająć umysł i przestać myśleć o tym, co zrobiła. Wcale nie zamierzała powiedzieć Morganowi, że wkrótce wyjedzie, ale teraz była z tego zadowolona. Postąpiła słusznie. A Morgan nawet nie próbował jej przekonać, że powinna zostać u niego trochę dłużej.

Teraz musi tylko jakoś przetrzymać tych kilka dni.

- Tomas śpi? - spytała, gdy Morgan wrócił do salonu.

- Jak suseł. Co oglądasz?

- Och, właściwie nic. Zmień kanał, jeśli chcesz.

Podawała mu pilota i zadrzała, gdy ich palce się musnęły. Przygryzła wargi, przerażona swoimi reakcjami. Wystarczył najmniejszy kontakt fizyczny, by jej serce zaczynało bić w

oszałamiającym tempie. Nie miała pojęcia, jak zniesie rozstanie z Morganem, skoro tak bardzo go kocha. Ale nie może tu zostać, bo on nie odwzajemnia jej uczuć.

- Chyba pójdę umyć włosy - oznajmiła, wstając z kanapy. Zignorowała wyciągniętą dłoń Morgana, aby całkiem się nie rozkleić, czując jej ciepło i siłę. - Pani Mackenzie pomogła mi wziąć prysznic, ale nie chcę więcej jej fatygować.

- Na pewno dasz sobie radę?

- Tak! - zawołała i na widok miny Morgana zaraz się zmitygowała. - Przepraszam, nie chciałam podnosić głosu. To wszystko przez te ograniczenia ruchowe.

- Rozumiem. Ale zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Dobrze.

Ostrożnie ruszyła po wypolerowanej posadzce, starając się zachować równowagę. Kule miały gumowe nasadki, ale chodzenie jeszcze sprawiało jej trudność. Odetchnęła z ulgą, wchodząc do łazienki, zadowolona przynajmniej z tego, że robi postępy. Miała nadzieję, że do końca tygodnia będzie dużo sprawniejsza.

Umyła włosy, ale nie zdołała zdjąć ze ściany suszarki umieszczonej w specjalnym uchwycie. A co gorsza, poczuła bolesne pulsowanie zagipsowanej nogi, więc zostawiła suszarkę w spokoju i wróciła do salonu.

- Nie suszysz włosów? - spytał Morgan, gdy bezsilnie klapnęła na kanapę.

- Suszarka zanadto się bronila.

- Boli cię noga?

- Trochę. I zanim coś powiesz... tak, masz rację, nie powinnam jej forsować.

- Ostrzegałem cię. - Morgan ostentacyjnie westchnął, ale był zatroskany. - Nie przeskoczysz samej siebie.

- Też coś! - parsknęła i dopiero wtedy zauważyła, że on się uśmiecha. - Ha, ha, ha, bardzo zabawne.

- Staram się. Poczekaaj, zaraz przyniosę tę oporną suszarkę. Tylko tego brakuje, żebyś się zaziębiła.

Po chwili wrócił do salonu z suszarką i grzebieniem.

- Masz strasznie splątane włosy - stwierdził. - Pochyl głowę do przodu, to spróbuję doprowadzić je do ładu.

- Nie musisz - powiedziała, usiłując się odsunąć, lecz on już zaczął ją czesać. Podziałało to na nią tak ekscytująco, że przymknęła powieki, rozkoszując się muśnięciami jego palców.

- Chyba nie szarpię, prawda?

- Nie - szepnęła, świadoma niskiej, wibrującej nuty w cichym głosie Morgana.

Nadal miała zamknięte oczy i bardzo chciała zachować obojętność, ale było to coraz trudniejsze, ponieważ każdy ruch dłoni Morgana budził zmysły i przypominał o dawnych pieszczotach. Gdy zaś Morgan odłożył grzebień i sięgnął po suszarkę, wiedziała, że koniecznie powinna go poprosić, by przestał, bo już sama da sobie radę. Ale nie miała na tyle silnej woli, aby odmówić sobie tej słodkiej przyjemności, jaką sprawiały jego ręce. Błądziły po jej skórze, tak czułe, niemal z miłością...

Zatrzepotała powiekami, oszołomiona tą absurdalną myślą. I westchnęła z wrażenia na widok spojrzenia Morgana. Było w nim tyle żaru...

- Katrino.

Wymówił jej imię w taki cudowny sposób, że zabrzmiało jak delikatny powiew letniej bryzy. Jak najpiękniejszy dźwięk na świecie, jak najśłodsza muzyka, przepojona gorącym uczuciem jej twórcy.

Katrina przez chwilę usiłowała pojąć, jakie to emocje, lecz zaraz uznała, że nie ma sensu tego zgłębiać. Po co analizować

intencje Morgana, skoro o wiele łatwiej po prostu je wyczuwać?

Gdy lekko odchylił jej głowę do tyłu i musnął wargami jej usta, poddała się bez słowa sprzeciwu.

Pocałunek był wszystkim, o czym marzyła. Jego czułość sprawiła, że oczy Katriny wypełniły się łzami, a jego żar obudził od dawna uszpioną namiętność. W tej chwili Katrina była niemal pewna, że nigdy w życiu nie doświadczy czegoś bardziej cudownego. Jęknęła cichutko, gdy Morgan sięgnął do jej piersi.

- Chcę cię dotykać. - Głos Morgana zabrzmiał nagłaco. - Chcę pieścić twoje ciało, zatonać w tobie...

- Ja też cię pragnę... - Wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła jego głowę, aby go pocałować. - Tak bardzo, Morgan...

Chwycił ją na rękę, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Katrina przygryzła wargi, ponieważ zaczął ją rozbierać z takim żarem w oczach, że miała ochotę rozplakać się ze szczęścia.

Zdjął z niej trykotową bluzę, następnie czubkami palców zsunął ramiączka stanika i obnażył piersi. Przyłgął ustami do wyprężonego sutka i zaczął błądzić po nim językiem, a Katana ogarniało coraz większe pożądanie.

Gdy się odsunął, natychmiast wyciągnęła rękę, aby go przytrzymać.

- Spokojnie - rzekł z uśmiechem. - Nigdzie się nie wybieram. Muszę tylko pozbyć się ubrania.

Wstał i pośpiesznie się rozebrał, rzucając na podłogę kolejne części garderoby. Gdy usiadł, Katrina położyła dłoń na jego nagim torsie, rozkoszując się śliskim dotykiem delikatnego owłosienia. Poczwała, że Morgan zadrżał, i ucieszyła się, że nadal działa na niego tak samo silnie, jak przed laty. On zaś rozpiął jej spódnicę, ostrożnie ją zsunął, po

czym równie delikatnie rozebrał Katrinę ze stanika i białych fig.

- Jesteś taka piękna... - Złożył pocałunek w zagłębieniu jej ramienia i powędrował wargami w dół.

Katrina miała wrażenie, że on uczy się jej ciała na pamięć, ponieważ błądził po nim rękami i ustami, zatrzymywał się na jego wklęsłościach i wypukłościach i czasem powracał do miejsc, które niedawno pieścił, budząc coraz bardziej rozkoszne doznania. Jęknęła cichutko, gdy musnął językiem wnętrze jej uda, bezwiednie poruszyła biodrami, a Morgan ostrożnie ją przesunął i za moment pochylił się nad nią.

- Żadna kobieta nigdy nie będzie kochana bardziej niż ty tej nocy, Katrino.

Poczuła łzy w oczach i ból w sercu. Nie chciała, aby kochał ją tylko tej nocy! Pragnęła zachować jego miłość na zawsze, ale to było niemożliwe. Może więc lepiej wziąć to, co jej ofiarował, niż nie otrzymać niczego. Tę jedną namiętą noc będzie mogła wspominać każdej następnej, którą spędzi w samotności.

- Po prostu kochaj mnie, Morgan - szepnęła, mocno go obejmując. - Jak długo zechcesz...

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obudził się pierwszy i z ciężkim sercem popatrzył na śpiącą żonę. Spędził z nią najcudowniejszą noc i straszliwie cierpiał na myśl o tym, że te chwile namiętności mogą już nigdy się nie powtórzyć. Co więc powinien zrobić? Wyznać Katrinie, że ją kocha? Ale sytuacja wcale się nie zmieniła. Nadal nie mógł dać ukochanej kobiecie dzieci, których ona zawsze tak bardzo pragnęła.

- Nie śpisz?

Drgnął, zaskoczony jej pytaniem, i spojrzał na jej zarumienioną buzię. Zaspana Katrina wyglądała zachwycająco. W ciągu minionych czterech lat przypominał sobie ten rozkoszny widok niezliczoną ilość razy. Oddałby Bóg wie co, aby przez resztę życia codziennie budzić się obok Katriny. Ale czy ma prawo z egoistycznych pobudek zatrzymać ją przy sobie?

- Coś nie tak, Morgan? - spytała czule, głaszcząc go po policzku. - Przecież widzę, że jesteś zasepiony.

Westchnął ciężko, zastanawiając się, w jakie słowa ubrać dręczące go wątpliwości.

- Myślałem o tym, co zaszło.

- O tym, że się kochaliśmy?

- Tak. - Chwycił jej dłoń i odsunął od swojej twarzy. Nie mógł zebrać myśli, gdy Katrina go dotykała; każde muśnięcie jej palców sprawiało, że zaczynał jej pożądać. Jakże łatwo mógłby dać się ponieść namiętności... Wiedział jednak, że nie wolno mu do tego dopuścić. Najpierw muszą poważnie porozmawiać o tym, co się stało, i ustalić, jakie to ma znaczenie dla nich obojga.

Może Katrina po długim okresie abstynencji tylko pragnęła seksu, a on, Morgan, był pod ręką?

- Na litość boską, Morgan, nie rób takiej tragicznej miny! Nie rozsypię się na kawałki, jeśli powiesz mi prawdę!

- Niby jaką? - parsknął gniewnie, ponieważ przez głowę przebiegały mu chaotyczne myśli, nad którymi nie był w stanie zapanować. - Ta noc sprawiła nam sporo uciechy i to wszystko, prawda? Wcale nie oznacza, że znów połączyła nas miłość do grobowej deski, ani że to początek naszego pojednania. - Musiał głęboko odetchnąć, bo prawie dławił się swoim cierpieniem.

- Masz rację. - Katrina posłała mu promienny uśmiech. - Przynajmniej oboje wiemy, na czym stoimy. Zawsze lepiej wygarnąć prawdę w oczy, niż dopuścić do nieporozumień.

- Och, przy tobie to raczej niemożliwe!

Odrzucił kołdrę i zerwał się z łóżka. Nie mógł dłużej leżeć obok Katriny, skoro wszystkie jego marzenia w jednej sekundzie rozleciały się na tysiąc maleńkich kawałków.

Chwycił szlafrok, narzucił go na siebie i drżącymi rękami starannie zawiązał pasek. Dopiero wtedy spojrzał na Katrinę. Cóż, nie powinien budzić w niej poczucia wiary tylko dlatego, że powiedziała prawdę.

- Pójdę do Tomasa, a ty jeszcze poleż - powiedział. - Przyniosę ci coś do ubrania, gdy będzie jadł śniadanie.

- Dziękuję - szepnęła.

Usłyszał w jej głosie dziwnie błagalną nutę i przez moment się zastanawiał, czy dobrze ocenił sytuację. Może ta noc znaczyła dla Katriny równie dużo, jak dla niego? Lecz jeśli tak, to dlaczego ona mu tego nie powiedziała? Dlaczego z tym radosnym uśmiechem gładko przyznała, że po prostu miło się zabawili?

Gdyby choć jednym słowem dała do zrozumienia, że zależy jej na odnowieniu ich związku, uczyniłby wszystko, co w jego mocy, aby już nigdy się nie rozstali. Nawet zgodziłby się adoptować Tomasa i dzięki temu stworzyłby prawdziwą, upragnioną rodzinę. Jakie to smutne, że obecnie

zaakceptowałyby to, co tak stanowczo odrzucił cztery lata temu. Cóż, poniósł klęskę, i to na własne życzenie!

Katrina zastanawiała się, czy serce rzeczywiście może pęknąć. Jej chyba to zrobiło, gdy Morgan oświadczył, że ta noc nic dla niego nie znaczyła.

Że tylko się zabawili.

Szybko przywołała się do porządku, gdy Morgan wrócił do pokoju i położył na łóżku jej szlafrok. Sięgnęła po niego, usiłując nie okazać cierpienia, gdy mąż popatrzył na nią badawczo. Ani myślała się ośmieszyć, ujawniając, co czuje. Morgan powiedział jej prawdę i powinna być mu za to wdzięczna.

- Tomas je śniadanie, więc możesz spokojnie wstać. Mały sądzi, że jesteś w łazience.

- To dobrze. Lepiej nie mieszać mu w głowie. I tak będzie mu przykro, gdy stąd wyjedziemy, bo bardzo cię polubił.

- Z wzajemnością. Może czasem napiszesz parę słów, żebym wiedział, co u niego.

- Nie sądzę, żeby to miało sens. Prawdopodobnie nigdy więcej cię nie zobaczymy.

Wsunęła ręce w rękawy, spojrzała na Morgana i ujrzała na jego twarzy wyraz udręki. Chciała spytać, w czym problem, ale zaraz zmieniła zamiar. Jak na jeden dzień usłyszała już aż za dużo przykrej prawdy.

Z pomocą Morgana dotarła do łazienki i uprzejmie podziękowała, gdy przyniósł jej kule. Zamknęła drzwi, odkręciła kran nad umywalką i popatrzyła w lustro.

Dostrzegła w swoich oczach smutek, którego jeszcze wczoraj w nich nie było. Gdy przed czterema laty rozstała się z Morganem, była załamana, ale gdzieś w głębi duszy pozostało troszkę nadziei. Teraz już jej nie miała. Wiedziała, że tym razem odejdzie od Morgana na zawsze.



- Będzie mi ciebie brakowało, Katrino - oświadczył Danny, gdy kończyli ostatnią sesję.

Był piątek i już następnego dnia wynajęty samochód miał zawieźć Katrinę oraz Tomasa do Derby. Przygotowaniami zajął się Morgan, z właściwą sobie dbałością o każdy szczegół. Załatwił pomoc z opieki społecznej oraz zamówił i opłacił zakupy żywnościowe. Protesty Katriny zbył stwierdzeniem, że wszystko już ustalone, więc szkoda czasu na głupie spory.

Katrina wiedziała, że chciał ułatwić jej nowy początek, ale nie dał jej tego, czego pragnęła najbardziej - swojej miłości. A bez niej życie nie mogło być szczęśliwe.

- Na pewno mówisz to każdemu pacjentowi - odparła lekkim tonem, usiłując zignorować bolesną myśl.

- Tylko tym, którzy ciężko pracują. - Danny posłał jej szeroki uśmiech. - Większość ludzi niestety wierzy w cuda, a tu trzeba nieźle się napocić, żeby osiągnąć zadowalające rezultaty.

- Już dobrze, dobrze! - zawołała. - Przecież widzisz, jak się staram. - Posłusznie uniosła hantle. - Mam mięśnie jak atleta!

- Wiele kobiet padnie z zazdrości na ich widok. Mówiłem ci już, że Sandra też będzie u mnie ćwiczyć?

- Policja znalazła jej męża?

- A jakże, i wypuściła drania za kaucją. - Danny wzruszył ramionami. - Ktoś najwyraźniej uznał, że ten gagatek nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa.

- Coś takiego! Moim zdaniem trzeba go zamknąć i wyrzucić klucz. Przecież ten typ może znów pobić biedną Sandrę.

- Tutaj jest bezpieczna. Personel na chirurgii dostał polecenie, żeby łobuza nie wpuszczać. Sandra zaraz tu się zjawi, więc pewnie się z nią spotkasz. - Danny zerknął na spis

pacjentów. - Potem przychodzi Adam Marshall, fan piłki nożnej. A te paluszki dotykały piłkarskich nóżek!

- Czyli spotkał mnie prawdziwy zaszczyt? - Katrina parsknęła śmiechem.

- Owszem, szczęściara z ciebie, młoda damo. Nie każdy ma taki fart, żeby trafić pod moje skrzydełka. Gdyby nie twój małżonek, pewnie bym cię nie wybrał!

Uśmiechnęła się blado, aby Danny nie nabrał podejrzeń, że coś jest nie tak. Małżonek, pomyślała ze smutkiem, ale jak długo jeszcze? Ten związek stał się czystą fikcją. Nie było sensu jej podtrzymywać.

Po sesji serdecznie podziękowała Danny'emu i wyszła do poczekalni, skąd miała zaraz zostać zabrana do recepcji. W pomieszczeniu zastała Sandrę.

- Jak się pani miewa? - spytała, siadając obok jej wózka.

- Dużo lepiej. - Sandra z westchnieniem popatrzyła na swoje zagipsowane ręce. - Ale minie sporo czasu, zanim mi to zdejmą.

- Szkoda, że nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Może zdołalibyśmy jakoś pomóc.

- Za bardzo się bałam, żeby komukolwiek wyznać prawdę. Trudno wyrazić, co czuje człowiek żyjący pod terrorem. Po pewnym czasie staje się bezwolny jak kukła. Sama nie wiem, jakim cudem zebrałam się na odwagę, żeby uciec od Anthony'ego. Nie zrobiłabym tego, gdyby nie wyjechał w delegację. Niestety wszystko schrzaniłam, rozbijając auto. Wiedziałam, że Anthony wpadnie w szal; wiele razy mi mówił, co robi, jeśli spróbuję od niego odejść. Gdy tamtego dnia przyszedł na oddział, wpadłam w panikę.

- To zrozumiałe. Ale dokąd pani poszła po wyjście ze szpitala?

- Zatrzymałam się w małym pensjonacie niedaleko stąd. Marzyłam tylko o tym, żeby Anthony mnie nie znalazł.

Chciałam trochę odpocząć i wyjechać na drugi koniec kraju. Później zakradłam się do domu, aby wziąć swoje rzeczy. Myślałam, że Anthony jest w pracy, ale on był na zwolnieniu. Chyba podejrzewał, że w końcu przyjdę, i na mnie czekał.

- Ależ się pani na... - Katrina zmartwiała na widok wchodzącego mężczyzny. Był nim nie kto inny, tylko mąż Sandry. Z rewolwerem w dłoni.

Sandra wydała piskliwy okrzyk, a z gabinetu wybiegł zaalarmowany hałasem Danny i stanął jak wryty, gdy Sullivan skierował w jego stronę lufę broni.

- Nie wtrącaj się - warknął. - To ciebie nie dotyczy. - Popatrzył na Sandrę i uśmiechnął się ponuro. - Przyszedłem po żonę.

- Może porozmawiamy spokojnie... - Danny nie dokończył, bo drzwi do poczekalni znów się otworzyły.

Katrina nie bardzo wiedziała, co się stało, bo wszystko odbyło się błyskawicznie. W drzwiach stanął salowy i w tym samym momencie rozległ się huk wystrzału. Odruchowo skuliła się, gdy poleciały na nią kawałki tynku, i wrzasnęła z przerażenia, bo Danny skoczył do przodu, aby obezwładnić Sullivana, a on zdzielił go lufą w skroń. Danny bezwładnie osunął się na podłogę.

- Zabije nas, zabije - pojękiwała Sandra, kiwając się w przód i w tył.

- Cicho. - Katrina położyła dłoń na jej ramieniu. - Wszystko będzie dobrze.

- Do środka! - ryknął Sullivan. Miał czoło poważnie skaleczone odłamkiem tynku i obłęd w oczach.

Katrina uznała, że nie należy stawiać oporu, i wraz z Adamem Marshalllem pośpiesznie wepchnęła wózek Sandry do gabinetu. Sullivan wpadł za nimi i zamknął drzwi na klucz. Sandra cicho pochlipywała, a Katrina próbowała ją uspokajać, lecz sama była zrozpaczona. Może lada chwila tutaj umrzeć,

nie powiedziawszy Morganowi, że go kocha. Poprzysięgła sobie wyznać mu prawdę, jeśli tylko wyjdzie stąd żywa.

Morgan dowiedział się o wszystkim od Luke'a i natychmiast pognął na fizykoterapię.

- Jestem Morgan Grey, ordynator na ortopedii, a jedna z zakładczyk to moja żona - oświadczył, podchodząc do oficera policji.

- Proszę za mną, sir.

- Jak wygląda sytuacja?

- Na razie staramy się nie prowokować Sullivana, doktorze. Lepiej, żeby nie wpadł w panikę.

- Czyli siedzicie z założonymi rękami?!

- Eee... w zasadzie tak.

Oficer odszedł na bok, wezwany przez jednego ze swych ludzi, a Morgan przez chwilę bezsilnie się zżymał. Wolał nawet nie myśleć o tym, co by było, gdyby Katrinie stało się coś złego. Chyba by tego nie przeżył. Dopiero teraz zrozumiał, jakim okazał się głupcem. Powinien powiedzieć jej, że ją kocha, i do diabła z konsekwencjami!

- Sullivan żąda lekarza - oznajmił policjant. - Chyba dostał w głowę kawałkiem tynku i jest ranny.

- Ja się nim zajmę - bez wahania odparł Morgan. Wziął podręczną apteczkę i ruszył za policjantem.

- Tylko żadnego bohaterstwa, doktorze. To bardzo groźna sytuacja.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Morgan wziął głęboki oddech, wkroczył do poczekalni i natychmiast zauważył leżącego Danny'ego. Nie zdążył jednak udzielić mu pomocy, ponieważ z gabinetu wyszła o kulach Katrina.

- Morgan! Co tutaj robisz? - zawołała, ale zza jej pleców zaraz wysunął się Sullivan i brutalnie ją odepchnął.

Morgan poczuł, że wszystko gotuje się w nim z wściekłości, ale pohamował gniew i wszedł do pokoju.

Przygryzając ze złości wargi, założył szwy na skroni Sullivana, świadomy tego, że Katrina go obserwuje. Zerknął na nią przelotnie, aby chociaż spojrzeniem zapewnić, że dopóki on żyje, nic jej się nie stanie. Bez wahania oddałby za nią życie, gdyby dzięki temu mógł ją uratować.

Odpowiedziała mu łagodnym półuśmiechem, a jej oczy rozświekliły się zdumiewającym blaskiem.

- Powiedz policji, że żądam gwarancji bezpieczeństwa - warknął Sullivan. - Mam stąd wyjść nie zatrzymywany przez nikogo.

- Dlaczego pan się nie podda? Przecież nie ma pan żadnych szans.

- Czyżby, doktorku? A te dwie kobiety i ten smarkacz? To moja przepustka na wolność. Policja nie dopuści, żeby komuś stała się krzywda.

- A jak daleko pan ujdzie, ciągnąc ze sobą trzy osoby? Chłopak ledwie powłóczy nogami, pańska żona siedzi na wózku, a Katrina chodzi o kulach.

- Katrina? Więc ją znasz? Jakaś przyjaciółeczka?

- Moja żona.

- Doprawdy? Mam nadzieję, że twoje małżeństwo, chłopie, jest bardziej udane od mojego. Mnie nie wyszło, ale zawsze można zrobić jedno - wszystko zakończyć.

Sullivan wycelował broń w Sandrę, a Morgan zareagował instynktownie. Podbił lufę rewolweru, jednocześnie rzucając się na Sullivana. Rozległ się ogłuszający huk i obaj mężczyźni upadli na podłogę.

W ciągu kilku następnych sekund w niedużym pomieszczeniu panował nieopisany harmider. Sandra wrzeszczała jak opętana, Adam wołał policję, a Morgan usiłował obezwładnić wyrywającego się przeciwnika. W końcu dwaj funkcjonariusze założyli mu kajdanki.

- Morgan, nic ci nie jest?! - Przerażliwie blada Katrina znalazła się przy nim, najwyraźniej oszołomiona tym, że on nadal żyje.

- Nie - zapewnił, zdumiony jej miną.

Przecież Katrina go nie kocha, dlaczego więc patrzy na niego w taki sposób? A zresztą... czy to ważne? Otworzył ramiona, a ona natychmiast znalazła się w jego objęciach. Przytulił ją tak mocno, jakby zamierzał nigdy jej nie puścić.

- Tak strasznie się przeraziłam... myślałam, że... zginąłeś. .. nie przeżyłabym, gdyby coś ci się stało, Morgan! - Cmoknęła go w brodę i znów wtuliła się w niego.

- Wiem, co czujesz, kochanie - zapewnił, patrząc jej głęboko w oczy. Musi raz na zawsze wyjaśnić wszelkie wątpliwości. - Bałem się tak samo o ciebie, bo bardzo cię kocham.

- Ty mnie kochasz? - Na jej twarzy odmalowało się niebotyczne zdumienie.

- Uhm. - Pocałował ją w czubek nosa i rozejrzał się wokoło, gdy do pomieszczenia weszło kilka osób personelu medycznego, aby zająć się Dannym oraz zabrać Sandrę i Adama na oddział. - Lepiej dokończmy tę rozmowę gdzie indziej. Chodźmy do mojego gabinetu.

- Dobrze, ale najpierw coś ci powiem.

- Co takiego? - Usłyszał w jej głosie nutę śmiertelnej powagi i odniósł wrażenie, że serce przestało mu bić.

- Że ja też cię kocham. Nigdy nie przestałam. Szaleję za tobą, Morgan, i to nigdy się nie zmieni.

- Ty też zawsze będziesz dla mnie najważniejsza, skarbie!

Minęła cała wieczność, zanim dotarli do jego gabinetu, ponieważ co chwilę ktoś ich zatrzymywał, aby usłyszeć relację z pierwszej ręki. Gdy weszli do pokoju, Katrina prawie się gotowała. Morgan zamknął drzwi i znów chwycił ją w objęcia.

- Nareszcie - jęknął. - Już myślałem, że nigdy tu nie dojdziemy. - Pocałował ją szybko i namiętnie, dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu.

- Och, Morgan - szepnęła. - Bałam się, że umrę i już nigdy nie powiem ci, jak bardzo cię kocham.

- Ależ była z nas para idiotów - stwierdził czule, ujmując w dłonie jej twarz. - Nie chcieliśmy się nawzajem zranić i wobec tego nie przyznawaliśmy się do naszych uczuć.

- Dlatego pozwoliłeś mi wierzyć, że mnie nie kochasz?

- Oczywiście. Uznałem, że skoro nic się nie zmieniło, to nie mam prawa wyznać ci miłości. Przecież nigdy nie dam ci dzieci, Katrino.

- Przestań! - Przyciągnęła do siebie głowę męża i przycisnęła usta do jego warg, chcąc ukoić jego cierpienie. Nie mogła dopuścić do tego, aby dłużej się zamartwiał. - Dopóki mam ciebie, Morgan, jestem szczęśliwa. Owszem, byłoby cudownie mieć dzieci, lecz skoro nie jest nam to pisane, to trudno. Nie pogodzę się tylko z utratą ciebie - szepnęła łamiącym się głosem. - Tego jednego bym nie zniosła.

- Moja najdroższa! - Znów ją pocałował.

- Wreszcie wszystko jasne - zamruczała, gdy zadyszani odsunęli się od siebie. - Dzięki Bogu!

- Owszem - przyznał, prowadząc ją przez pokój. Usiadł na krześle i posadził ją sobie na kolanach. - Więc już ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że za sobą szalejemy, ale pozostało jeszcze parę spraw do omówienia.

- Masz na myśli Tomasa? - W jej głosie zabrzmiała ledwie dosłyszalna nutka niepokoju.

- Tak, ale niczego się nie obawiaj. Nie chciałem ci pomóc go adoptować, lecz sytuacja uległa zmianie. - Podniósł dłoń Katriny do ust i ucałował jej palce. - Mam nadzieję, że

pozwołisz mi zostać jego ojcem, ponieważ bardzo tego pragnę.

- Na pewno? Może tylko tak mówisz, żeby...

- Nie - zapewnił z przekonaniem. - Chcę go adoptować, bo wierzę, że powinniśmy to zrobić. Pokochałem to dziecko i nie zniósłbym myśli, że mam go więcej nie zobaczyć.

- Och, Morgan, czy ja śnię? Marzyłam, żebyś to powiedział. Ale dlaczego przedtem byłeś taki przeciwny idei adopcji?

- Z powodu własnego dzieciństwa. Chyba się tego sama domyśliłaś, prawda? Dlatego wypytywałaś mnie o ojczyma....

- Nie musisz mi o tym opowiadać, jeśli nie chcesz,

- Chcę. Muszę raz na zawsze zostawić to za sobą. Wiesz, że moja matka powtórnie wyszła za mąż, gdy miałem dziesięć lat. Nie masz jednak pojęcia o tym, co to oznaczało dla mnie. Mój ojczym nigdy nie ukrywał, że ja go wcale nie interesuję. Chciał poślubić moją matkę, a ja byłem niechcianym dodatkiem.

- O mój Boże! Jakie to smutne.

- Owszem, bo przedtem byłem naprawdę szczęśliwym dzieciakiem. - Morgan wzruszył ramionami. - Wkrótce po ich ślubie wysłano mnie do szkoły z internatem, co ucieszyło całą naszą trójkę. Może wszystko jakoś by się ułożyło, gdyby nie to, że moja matka zaszła w ciążę i urodziła mojego przyrodniego braciszka. Oboje z ojczymem nie posiadali się ze szczęścia.

- Jak ty przyjąłeś narodziny brata?

- Zabawne, ale byłem zachwycony. Uwielbiałem Michaela od pierwszej chwili, gdy go ujrzałem, a później on odwzajemniał moje uczucia. Gdy podrośł, chodził za mną jak mały psiak i mimo różnicy wieku bawiliśmy się razem całymi godzinami.

- To chyba uzdrowiło sytuację?



- Pewnie tak by się stało, ale Michael zmarł w wieku pięciu lat. Miał wadę serca, której w porę nie wykryto. Matka oczywiście wpadła w rozpacz. Gdy przyjechałem na pogrzeb Michaela, prawie się do mnie nie odzywała.

- A twój ojczym?

- Cóż, był załamany. Przez całe trzy dni nie powiedział do mnie ani słowa, ale przed moim wyjazdem do szkoły oświadczył, że to ja powinienem być umrzeć, a nie Michael. Dodał też, że to niesprawiedliwie, aby on musiał opiekować się cudzym bachorem, skoro utracił własnego syna.

- Cóż za okrucieństwo!

- Wiem, że był pogrążony w bólu, ale jego słowa zraniły mnie do głębi. Pamiętam, jak usiłowałem mu tłumaczyć, że jest w rozpacz i nie wie, co mówi, że na pewno wcale tak nie myśli... ale on mnie wyśmiał. Powiedział, że adoptował mnie tylko dlatego, bo moja matka zgodziła się za niego wyjść jedynie pod tym warunkiem. Ale nie ma szans, aby kiedykolwiek traktował mnie jak własne dziecko, bo nie jestem z jego krwi i kości, więc na pewno mnie nie pokocha.

- I nigdy tego nie zapomniałeś. Tak bardzo wzięłaś sobie do serca słowa ojczyma, że znienawidziłaś pomysł adopcji.

- Tak. Panicznie się bałem, że nie zdołam obdarzyć miłością dziecka, które nie jest moje. Nie mogłem dopuścić do tego, aby cierpiało tak bardzo, jak ja kiedyś.

- Pewnie również dlatego zawsze traktowałaś ludzi z dystansem. Wolałaś nie ryzykować, że ktoś znów cię zrani.

- Owszem, chociaż w pełni zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy ty wkroczyłaś w moje życie. - Pocałował ją delikatnie i nadzwyczaj czule.

- Sądzisz, że już zrobiłeś rozrachunek z przeszłością? Naprawdę chcesz adoptować Tomasa?

- Tak.

Powiedział to tak żarliwie, że bez wahania mu uwierzyła i rozpląkała się ze wzruszenia, jakby w tych łzach nagle znalazło ujście całe dotychczasowe cierpienie, cały strach i dręcząca niepewność.

- Niezła z nas para - stwierdził Morgan. On też miał wilgotne oczy.

- Najważniejsze, że nią jesteśmy, i nie możemy bez siebie żyć. - Katrina wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i osuszyła twarz.

- Jest nas więcej, skarbie. Troje. Ty, ja i...

- Tomas - dodała z sercem przepelnionym radością.

- Tak, Tomas. Nasz synek.

Sześć miesięcy później...

- Gotowa? Limuzyna przyjedzie za pięć minut... - rzekł Morgan i oniemiał z wrażenia na widok Katriny.

- I jak? - spytała z uśmiechem. - Ujdzie?

- Jeszcze jak. Ależ z ciebie piękność, Katrino - zapewnił, wchodząc do pokoju.

Rzeczywiście wyglądała jak marzenie. Miała we włosach świeże kwiaty, a na sobie seledynową suknię z jedwabiu, która cudownie podkreślała smukłą sylwetkę.

- A na dodatek tak słodko pachniesz - zamruczał, biorąc ją w ramiona.

Nigdy nie był taki szczęśliwy jak w ciągu tych minionych sześciu miesięcy. Codziennie rano musiał się uszczypnąć, by stwierdzić, że nie śni. Katrina zrezygnowała z mieszkania w Derby i wprowadziła się tutaj, lecz obecnie szukali większego lokum - domu z ogrodem, aby Tomas miał gdzie się bawić.

Zamierzali zostać na stałe w Dalverston. Życie wreszcie układało się wspaniale i Morgan uważał się za największego szczęściarza świata. Powiedział to Katrinie i w nagrodę dostał buziaka.

- Ja też tak myślę, Morgan - szepnęła, z miłością patrząc mu w oczy. - A gdy adopcja zostanie sfinalizowana, będziemy mieć wszystko.

- Powinniśmy dostać dokumenty pod koniec tygodnia. Nie ma najmniejszych powodów do obaw.

- Wiem. I zamierzam skupić całą uwagę na dzisiejszej ceremonii. To odnowienie przysięgi małżeńskiej to cudowny pomysł.

- Uznałem, że powinniśmy to zrobić. - Pocałował ją czule. - Chcę, aby cały świat wiedział, jak bardzo cię kocham, Katrino.

- Dziękuję. - Oddała pocałunek i zachichotała. - A skoro mowa o całym świecie, to ile osób się zjawi?

- Mnóstwo! Już dawno straciłem rachubę. Mówiłem ci, że Sandra też będzie?

- Wczoraj z nią rozmawiałam. Obiecała, że postara się przyjść. I podobno przyprowadzi Grahama Walkera. Przeczytał w jakimś tygodniku reportaż o procesie Sullivana i odnowił z nią znajomość. Wygląda na to, że bardzo się zaprzyjaźnili.

- To dobrze. Teraz, kiedy Sullivan siedzi, a Sandra się z nim rozwodzi, powinna wreszcie dostać od życia trochę szczęścia.

- Oczywiście. Wiesz, że Maggie i Luke też przyjadą? Maggie dzwoniła wieczorem i powiedziała, że znaleźli dwa miejsca na nocny lot.

- Wspaniale! - Morgan raptownie się odwrócił, bo z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu. - Nasz samochód chyba czeka na dole.

- Zaraz poszukam Tomasa i... - Katrina roześmiała się radośnie, gdy chłopczyk wbiegł do pokoju. - W samą porę, skarbie!

Morgan chwycił malca na ręce, cmoknął go w policzek i jeszcze raz pocałował swoją żonę.

- Kocham cię, Katrino.

- A ja kocham ciebie, Morgan - szepnęła, patrząc na niego z miłością w oczach.

- Więc na co jeszcze czekamy?

Wziął ją za rękę i poczuł, że serce wzbiera mu szczęściem gdy usłyszał śmiech Katriny i Tomasa.

Miał żonę, którą uwielbiał, i ukochanego synka. Nie potrzebował niczego więcej!